

Platon , Fajdros

OSOBY DIALOGU:

SOKRATES

FAJDROS

FAJDROS

SOKRATES. Kochany Fajdrosie, dokądże to i skąd?

FAJDROS. Od Lizjasza, Sokratesie, od syna Kefalosa. A idę się przejść za miasto. Długotam u niego byłem; siedziałem od samego rana. A że słucham rad twojego i mojego przyjaciela Akumenosa, więc przechadzki odbywam po drogach; on powiada, że to mniej męczy niż te po krętych ulicach miasta.

SOKRATES. Dobrze powiada, przyjacielu. A to widać, Lizjasz był w mieście.

FAJDROS. Tak, u Epikratesa, w tym domu u Morychosa, koło świątyni Zeusa Olimpijskiego.

SOKRATES. No a cóż tam była za rozmowa? Oczywiście, że was Lizjasz mowami częstował.

FAJDROS. Dowiesz się, jeżeli masz czas pójść ze mną kawałek i posłuchać.

SOKRATES. Czemu nie? Nie wierzysz może, że ja tak jak Pindar powiada, "więcej niż czas drogi cenię to", żeby słyszeć twoją rozmowę z Lizjaszem?

FAJDROS. To prowadź!

SOKRATES. No więc może opowiesz?

FAJDROS. Tak, tak, Sokratesie; to właśnie coś dla ciebie do słuchania. Bo mowa, o którejśmy rozmawiali, miała strasznie erotyczny temat. Lizjasz opisał zabiegi miłosne około jakiejś piękności, ale nie ze strony miłośnika, i w tym właśnie cały figiel. Bo mówi, że powinno się raczej obdarzać względami tego, który nie kocha, niż tego, który kocha.

SOKRATES. To znakomity mąż! Żeby on tak napisał, że się powinno raczej ubogiego przyjmować niż bogatego, i starego raczej niż młodego, i jaki tam jeszcze ja jestem i niejeden z nas. To by dopiero były mowy "kulturalne i społeczne"! Ja się tak zapaliłem do słuchania, że choćbyś tym spacerkiem i do Megary zaszedł i, jak Herodikos zaleca, spod samych murów miejskich nazad wracał, nie opuszczę cię na krok.

FAJDROS. Co ty mówisz, Sokratesie pocziwy! Ty myślisz, że co Lizjasz długi czas i przywolnej głowie układał, on, pierwszy pisarz współczesny, to ja, laik, potrafię z pamięci powtórzyć, jak się należy - tak jak on? Daleko mi do tego, chociaż przyznam się, że chciałbym. Wolałbym to niż worek złota!

SOKRATES. Ej, Fajdrosie! Jeżeli ja Fajdrosa nie znam, to chyba siebie samemu zapomniał. Ale ani jedno, ani drugie nie zachodzi. Doskonale wiem, że on tej mowy Lizjasza nie jeden raz słuchał, ale kilka razy. Raz po raz prosił, żeby mu powtarzać, a tamten powtarzał bardzo chętnie. A temu nawet i tego nie było dość! Toteż wziął w końcu rękopis do ręki, przeglądał na nowo to, co go najwięcej pociągało. Nad tą robotą siedział od rana, zmęczył się i poszedł się przejść. A widzi mi się, dalibóg, że wykuł mowę na pamięć; chyba że była może bardzo długa. A szedł za miasto, żeby ją przedeklamować. Spotkał po drodze człowieka, który cierpi na słuchanie mów. Zobaczył go; zobaczył i ucieszył się, że będzie miał towarzysza zachwyty, i poprosił go z sobą. A kiedy go ten, rozkochany w mowach, prosi o powtórzenie, ten zaczyna robić ceregiele, że naprawdę nie ma ochoty mówić. A na końcu, gdyby go człowiek nie był chciał po dobrej woli słuchać, byłby gwałtem był mówić. Więc, mój Fajdrosie, poproś Fajdrosa, żeby ty, co i tak za chwilę zrobi, już teraz zaczął zrobić!

FAJDROS. No nie; doprawdy; to dla mnie jest ogromna korzyść - tak, jak potrafię, mówić. Tym bardziej że ty, zdaje się, nie puścisz mnie, zanim ci nie powiem; inna rzecz, jak.

SOKRATES. To bardzo ci się dobrze zdaje!

FAJDROS. No to już tak zrobię. Bo rzeczywiście, Sokratesie, słów zgoda nie umiem na pamięć. Tylko z treści pamiętam prawie że wszystko, czym się, jak Lizjasz mówił, różni zakochany i nie kochający, i to punkt za punktem przejdę po kolei, zaczawszy od pierwszego.

SOKRATES. Przejdiesz, przejdiesz, pokazawszy przede wszystkim, kochanie, co to tam masz w lewym ręku pod himationem! Bo ja zgaduję, że właśnie tę mowę. Jeśli to ona, to bądź przekonany, że ja cię wprowadzę bardzo kocham, ale skoro tu jest i Lizjasz - nie mam wielkiej ochoty służyć ci za okaz do ćwiczeń krasomówczych. Więc dawaj no to, pokaż!

FAJDROS. Daj spokój; prysła moja nadzieja w tobie; myślałem, że się trochę przećwiczę. Więc może usiądziemy, gdzie chcesz, i będziemy czytali?

SOKRATES. Chodźmy stąd; wróćmy się wzdłuż Ilissu, a potem gdzie bądź usiądziemy spokojnie.

FAJDROS. Doskonale się trafiło, że nie mam trzewików na sobie. No, ty oczywiście nigdy. Wiesz: najlepiej chodźmy rzeczką, zamaczawszy nogi. To nie jest nieprzyjemne, szczególnie o tej porze roku i dnia.

SOKRATES. No to idź naprzód i rozglądaj się, gdzie by można usiąść.

FAJDROS. Widzisz tamten jawor, ten wysoki?

SOKRATES. Albo co?

FAJDROS. Tam cień jest i wiatru trochę, i trawa; jest gdzie usiąść, można się i wyciągnąć, jak wolisz.

SOKRATES. No, no, prowadź.

FAJDROS. Słuchaj, Sokratesie, czy to nie stąd gdzieś, znad Ilissu, powiadają, Boreasz porwał Orejtyję?

SOKRATES. A powiadają.

FAJDROS. Może to właśnie stąd? Bo jakąż to cudna, czyściutka i przejrzysta woda. Doskonaleby się tu mogły dziewczątka bawić nad brzegiem.

SOKRATES. To nie stąd; to tam niżej, z jakie dwie, trzy staje, gdzie się przechodzi do świątyni Artemidy. Tam jeszcze gdzieś jest ołtarz Boreasza.

FAJDROS. Nie uważałem. Ale powiedz, na Zeusa, Sokratesie, czy ty w ten mit wierzysz?

SOKRATES. Gdybym i nie wierzył, tak jak mędrcy dzisiejsi, nic by w tym nie było szczególnego. Wtedy bym mędrkował i mówił, że ją tchnienie Boreasza zepchnęło ze skał pobliskich, kiedy się bawiła z Farmakeją, a kiedy w ten sposób zginęła, zaczęto mówić, że ją Boreasz porwał. A może z pagórka Aresa; bo opowiadają i taki mit, że to stamtąd, a nie stąd została porwana. Ja to, wiesz, Fajdrocie, uważam za rzeczy bardzo miłe, ale żeby się tym zajmować, do tego trzeba kogoś, kto ma dużo zdolności, sił, czasu, cierpliwości, choćby już dlatego, że potem musisz centaury stawiać na dwie nogi albo i Chimere, a potem zatrzęsienie rozmaitych Gorgon, Pegazów i innych jakichś dziwolągów głupich i nie wiadomo do czego podobnych.

Jak by człowiek w to nie wierzył, a brał się do wytłumaczenia wszystkiego na grubo, chłopski rozum, to bardzo by dużo na to czasu potrzeba i głowy. Ja całkiem nie mam na to głowy i czasu. A to, widzisz, dlatego: ja nie jestem w stanie, jak napis w Delfach powiada, poznać siebie samego. Więc mi się to śmieszne wydaje, kiedy siebie jeszcze nie znam, bawić się w takie nieswoje, niesamowite dociekania. Więc mało się tymi rzeczami interesuję; biorę je tak jak wszyscy inni i, jak mówię, nie to badam, ale siebie samego, czy ja sam nie jestem bydlę bardziej zawiłe i zakręcone, i nadęte niż Tyfon, czy też prostsze i bardziej łaskawe, które z natury ma w sobie coś boskiego i coś niskiego. Ale, przyjacielu, tak pomiędzy wierszami - czy to nie to drzewo, do którego nas prowadził?

FAJDROS. Tak, to właśnie ono.

SOKRATES. Na Herę! Toż to śliczna ustron. Ten jawor ogromnie rozłożysty i wysoki. I tawierzba wysoka, a śliczny cień daje, a taka cała obsypana kwieciami; będzie nam tu cudnie pachło. A jakieś miłe źródło płynie spod jaworu. Bardzo zimna woda, możesz nogą spróbować. Dziewice i posągi święte pod drzewami; widać, to uroczysko Acheloosa i nimf jakicheś. A proszę cię, ten wiatr tutaj - jaki strasznie miły i łagodny. To letni wiatr tak szumi, a przy nim świerszczów chór. Ale z tego wszystkiego najlepsza trawa i najładniejsza, żeby się tak przeciągnąć tam na tym łagodnym wzniesieniu. Doskonaleś wyprowadził, kochany Fajdrosie.

FAJDROS. Wiesz co, żeś ty jakiś dziwny człowiek. Zupełnie tak mówisz, jakbyś nie wiadomo skąd przyjechał, a nie był tutejszy. Ty się w ogóle nigdzie z miasta w okolicę nie ruszasz i bodajżeś jeszcze nigdy nie był za murami.

SOKRATES. No, wybac mi, mój kochany. Ja się przecież lubię uczyć. A okolice i drzewniczego mnie nie chcą nauczyć, tylko ludzie na mieście. Ale zdaje mi się, żeś ty dla mnie znalazł lekarstwo na chodzenie, doprawdy; bo tak jak się wygłodniałe cięło prowadzi, że mu się przed pyskiem jakimś wiechem trzęsie czy gałęzią, tak ty mi będziesz pod nos podsuwał mowy w rękopisie zwinięte i ciągał za sobą po całej Attyce, czy gdzie tam dalej zechcesz. Tymczasem, kiedy już tu zaszedł, wyciągnę się na trawie, a ty przyjmij dowolną pozycję, byleby ci czytać było wygodnie, i czytaj.

FAJDROS. To posłuchaj! O co mi chodzi, wiesz, i że za właściwą uważam taką rzecz pomiędzy nami, toś słyszał. Sądzę zaś, że nie powinno mnie omijać to, czego pragnę, dlatego że właśnie zakochany w tobie nie jestem. Toż takiemu później żal każdej wyświadczonych przysług, skoro tylko żądnę nasyci. A taki jak ja nigdy nie ma okresu wyrzutów. Bo nie z musu przysługi wyświadczam, ale z dobrej woli o drugiego dba, jak może; tak że lepiej by i około własnych spraw nie chodził. A jeszcze ci, co kochają, notują sobie wszystkie straty materialne, jakie ponieśli przez miłość, i wszystkie przysługi osobiste, a zważywszy jeszcze to, ile ich to wszystko trudów kosztowało, uważają, że rachunki dawno wyrównane i nic się od nich więcej nie należy ukochanej osobie. Natomiast ci, co nie kochają, nie mogą się ani tym zasłaniać, że przez to zaniedbują interesy prywatne, ani wymawiać mogą trudy podczas zabiegów poniesione, ani się skarżyć, że się przez to z rodziną poróżnili. Zaczem skoro tyle ujemnych stron odpada, nie pozostaje nic, jak tylko dbać wedle najlepszej wiedzy i woli o względy drugiej strony. A potem, jeśli kochających cenić dlatego, że o swym afekcie najwyższym zapewniają tych, których w danej chwili kochają, i mówią, że gotowi i słowem, i czynem poróżnić się ze wszystkimi dla pięknych oczu osób ukochanych, łatwo poznać, jaka to prawda, skoro zawsze wyżej cenią tych, w których się kiedyś później kochają, i gotowi się nawet źle obchodzić z dawniejszymi przedmiotami miłości, jeśli się to późniejszym podoba. Więc któż widział wdawać się w coś podobnego z ludźmi cierpiącymi wadę tego rodzaju, że nie brałby się do jej leczenia nikt, kto ma doświadczenie w tych sprawach? Przecież sami przyznają, że stan ich to choroba raczej niżli zdrowe zmysły, i choć wiedzą, że u nich w głowie źle, nie umieją zapanować nad sobą. Toteż jak mogą, przyszedłszy do siebie, uznawać za dobre to, czego im się chciało w tym stanie osobliwym? I to zważy, że gdybyś chciał wybrać najlepszego spośród tych, którzy cię kochają, to niewielki miałbyś wybór; przeciwnie, gdybyś spośród innych ludzi szukał tego, który by ci naj- więcej odpowiadał, wybór masz ogromny. Przeto znacznie większe jest prawdopodobieństwo, że właśnie gdzieś między tymi wieloma będzie człowiek godny twej przyjaźni. A jeśli się obawiasz sądu opinii publicznej, abyś się nie skompromitował, kiedy się ludzie o tym dowiedzą, to przecież ludzie zakochani zawsze myślą, że im cały świat zazdrości tak jak oni jedni drugim, przeto ich język świerzbi i ambicja podnieca do przechwałek przed wszystkimi, że ich trudy nie poszły na marne, a ci, co nie kochają, są od nich mocniejsi - wołają to, co naprawdę dobre, niżeli sławę u ludzi. Oprócz tego ludzie się zawsze muszą dowiedzieć i zobaczyć, jeżeli się ktoś w kimś kocha i chodzi za nim, i robi z tego wielką rzecz, tak że jak ich tylko ktoś zobaczy rozmawiających, zaraz myśli, że albo właśnie coś między nimi było, albo zaraz będzie. A tym, którzy się nie kochają, nikt nawet nie myśli brać za złe schadzki, bo każdy wie, że trzeba się nieraz z drugim zobaczyć, czy to z przyjaźni, czy dla jakiejś innej przyjemności. I jeszcze jedno: jeżeli się obawiasz zbliżeń osobistych, bo uważasz, że trudno o przyjaźń trwałą, i niech tylko zajdzie jakieś nieporozumienie, to nieszczęście dla obu stron, a tyś dał, co masz najdroższego, więc i tracisz ogromnie wiele - w takim razie więcej się obawiać powinien byś tych, którzy kochają. Ich przecież każdy drobniak w rozpacz wprawia i wszystko się dzieje, zdaniem ich, tylko na ich nieszczęście. Więc też uniemożliwiają ukochanym osobom wszelkie stosunki z ludźmi, bo się boją ludzi zamożnych,

aby ich nie przewyższyli majątkiem, a ludzi wykształconych także, aby nie przyćmili poziomem umysłowym. Albo jeśli kto jaką inną zaletę posiada, każdego pilnują, czy jakiego wpływu nie wywiera. I tak cię od wszelkich stosunków z ludźmi odwołają, że będziesz sam wśród ludzi jak palec, a nie będziesz miał przyjaciela. A jeśli zechcesz swego dobra patrzeć i być mądrzejszym niż oni, nieporozumienie będziesz miał gotowe. A jeśli ktoś wcale nie kochał, ale jako dzielny mąż tak postąpił, jak mu było potrzeba, ten nie będzie zazdrosny o towarzyskie zbliżenia; przeciwnie: niechętnie by patrzył na tych, którzy by cię unikali; uważałby, że się chyba krzywią na ciebie, a stosunki towarzyskie to rzecz pożyteczna. Toteż znacznie większe prawdopodobieństwo, że się stosunek z takim człowiekiem w

przyjaźń rozwinięta niż w nienawiść. A oprócz tego niejedynemu kocha dlatego, że mu się ciało jakieś podobało prędzej, nim charakter czyjś poznał i stosunki domowe, przeto bardzo niepewna to rzecz, czy taki zechce być przyjacielem jeszcze i wtedy, kiedy przestanie pragnąć. Ale jeśli się jacyś ludzie nie kochali nigdy, ale żyjąc z sobą od dawna w przyjaźni zbliżają się do siebie, to niepodobna, żeby ich przyjaźń umniejszyć miało to, co im przyjemność daje obopólną; nie - to będą dla nich trwałe pamiątki na przyszłość. A oprócz tego z pewnością lepszym się staniesz, jeżeli mnie posłuchasz raczej niż zakochanego w tobie. Bo taki najniesłuszniej w świecie będzie chwalił wszystko, co tylko powiesz czy zrobisz, bo z jednej strony boi się twojej niechęci, a potem sam gorzej widzi, tak go żądza zaślepia. Bo takie rzeczy miłość z ludźmi wyprawia: nieszczęśliwym każe się gryźć rzeczami, którymi by się nikt inny nie martwił, a szczęśliwym chwalić każe i takie rzeczy, którymi się cieszyć nie warto. Toteż raczej żałować należy ludzi kochanych niżeli im zazdrościć. Ale jeśli mnie posłuchasz, będę z tobą obcował nie dla chwilowej rozkoszy, ale i na przyszłość będzie z tego pożytek, i nie miłość nade mną będzie panowała, ale ja sam nad sobą, ani o drobnostki między nami awantur nie będzie i nienawiści, tylko o wielkie rzeczy pomaleńku, po troszku się kiedyś pogniewamy, bo ci mimowolne uchybienia przebaczę, a umyślne będę się starał odsuwać. To jest jedyny próbiez przyjaźni, która ma trwać długo. A jeśli ci to przed oczyma stoi, że nie może się silna przyjaźń zawiązać tam, gdzie miłości nie ma, to zastanów się, że w takim razie ani byśmy synów nie powinni kochać, ani ojców, ani matek, ani byśmy wiernych przyjaciół pozyskać nie mogli, bo te stosunki nie wyrastają z żądzy tego rodzaju, tylko na całkiem innym tle. Poza tym, jeśli by należało zawsze tym ustępować, którzy nas potrzebują najwięcej, toby potrzeba i w innych sprawach uwzględniać nie ludzi najlepszych, ale najbardziej potrzebujących. Tacy będą najwdzięczniejsi, bośmy im najprzyczęszy brak usunęli. A więc i na przyjęcia do domu własnego nie najbliższych przyjaciół zapraszać należy, ale tych, co się wprasza i chcą się napchać do syta. Tacy cię będą kochać i chodzić za tobą, i pod same drzwi przyjdą, i cieszyć się będą najwięcej, i ogromnie będą wdzięczni, i wszystkiego najlepszego ci będą życzyli. Więc uwzględniać może należy nie tych, którzy nas potrzebują najwięcej, ale tych, którzy się najlepiej odwzajemnić potrafią. I nie tych, którzy tylko kochają, ale tych, którzy są nas najgodniejsi. I nie takich, którzy się wdziękami twymi nasycą, ale którzy się i chlebem z tobą podzielić zechcą, kiedy się postarzejesz. I nie takich, którzy się potem chwalić będą przed ludźmi, ale takich, którzy o wszystkim przyzwocie przed ludźmi zamilczą. I nie tych, którzy się krótki czas nami interesują, ale tych, którzy przyjaciółmi zostaną przez całe życie. I nie tych, którzy gdy ich żądza odejście, szukać będą pozoru do zwady, ale takich, którzy gdy ich piękność opadnie, dopiero w całym blasku dzielności wystąpią. Więc pamiętaj o tym, co mówię, a i to zważ, że i przyjaciele zakochanym nieraz czynią uwagi, że się źle prowadzą, a takiemu, który nie kocha, nikt z bliskich nigdy nie czynił wyrzutów, jakoby się przez to źle urządzał. Ale może chcesz mnie zapytać, czy ci radzę względami obdarzać wszystkich, którzy cię nie kochają? Ja myślę, że nawet zakochany w tobie nie chciałby, żebyś się tak odnosił do wszystkich, którzy cię kochają. Bo ani to wypada ze względu na drugiego, ani się to udać może, jeśli chcesz, żeby ludzie o tym nie wiedzieli. A trzeba, żeby stąd żadna nie wynikała szkoda, ale pożytek dla obu stron. Zdaje mi się, że dość tego, co powiedziałem; a jeśli jeszcze czego pragniesz i myślisz, żem pominął, to się pytaj! Jakże ci się, Sokratesie, ten odczyt wydaje? Nieprawdaż, że nadzwyczajny! I w ogóle, i przez ten dobór słów!

SOKRATES. Ależ to wprost boska rzecz, przyjacielu - toż mi zupełnie mowę odebrało. Akiedym na ciebie patrzył, jak czytasz, Fajdro, miałem wrażenie, że cię ten odczyt cieszy, a że się na tych rzeczach nie rozumiem tak dobrze jak ty, więc siedłem za tobą i w ślad za tobą w szał zachwyty wpadałem, boska głowino!

FAJDROS. A tak, naturalnie, przecież ty żartujesz!

SOKRATES. Uważasz, że żartuję, a nie mówię serio?

FAJDROS. Oczywiście, Sokratesie; ale tak naprawdę powiedz, na Zeusa, na patrona przyjaźni: czy potrafili by który Grek coś lepiej i więcej powiedzieć na ten temat?

SOKRATES. Jak to? To mamy i z tego względu odczyt chwalić, że autor powiedział, co potrzeba, a nie tylko z tego punktu, że zwroty były jasne, okrągłe, dosadne i wyczelowane? Jak potrzeba, to niech i tak będzie dla twojej przyjemności, bo ja tego nie uważałem; taki jestem ladaco. Tyłkom na retoryczną stronę zwracał uwagę, a to mało, pewnie nawet i według Lizjasza. I takie odniosłem wrażenie, Fajdro, chyba że będziesz innego zdania, że on po dwa i po trzy razy jedno i to samo powtarza, jakby nic miał naprawdę wiele do powiedzenia na ten jeden temat albo jakby mu na czymś takim nic zależało. I miałem wrażenie, że on się popisuje jak młodziak na zapasach; chce pokazać,

że jedno i to samo potrafi i tak, i inaczej powiedzieć, a zawsze to znakomicie wypadnie.

FAJDROS. Pleciesz, Sokratesie. Przecież odczyt ma przeważnie jeden i ten sam temat. A ztego, co można z tego tematu wydobyć i co by warto o nim powiedzieć, on nic pominął niczego, tak że po jego

odczucie nikt w ogóle nie może powiedzieć na ten temat nic więcej ani lepiej.

SOKRATES. O, tu ci się nie dam przekonać, choćbym chciał. Bo starzy i mądrzy ludzie i kobiety, które na ten temat mówiły i pisały, przekonają mnie, że nie mam racji, nawet gdybym to dla ciebie zrobił i przyznał ci słuszość.

FAJDROS. A jacyż to? Gdzieżeś ty słyszał coś lepszego niż to?

SOKRATES. Tak, w tej chwili nie mogę ci przytoczyć. Ale naturalnie, żem gdzieś słyszał; pewnie gdzieś u Safony, tej pięknej, albo u mądrego Anakreonta, albo u któregoś z prozaików. A na jakiej podstawie to mówię? Bo jakoś pełną pierś mam i czuję, że miałbym na ten temat jeszcze niejedno do powiedzenia: coś całkiem innego, a bodajże nie gorszego. Żem ja tego sam nie wymyślał, to dobrze wiem; ja się otwarcie przed sobą do głupoty przyznaję. Więc nic innego, myślę, tylko we mnie jakieś obce źródła wpadły i napełniły mnie jak naczynie jakie. Ale taki jestem tuman, że i tom nawet zapomniał, jak i od kogo co słyszałem.

FAJDROS. Jesteś kapitalny i znakomicie mówisz. Jak i co od kogo słyszałeś, zaraz mi powiesz, nawet choćbym ci nie kazał. Zrób tylko tak, jak mówisz. Spróbuj powiedzieć coś lepszego, niż jest w tym rękopisie, a tyle samo co w nim, byle nie to samo. A ja ci, na dziewięciu archontów, przyszekam, że ci złoty posąg naturalnej wielkości w Delfach postawię; tak jest, nie tylko mój, ale i twój!

SOKRATES. Kochany jesteś i naprawdę złoty, mój Fajdrosie, jeżeli myślisz, że ja wszystkou Lizjasza odrzucam i gotówem powiedzieć coś zgoła innego, czego by i śladu nie było u niego. Coś się przecież trafi i u najlichszego pisarza. Weźmy na przykład to, o czym mowa. Pewnie; jeżeli ktoś twierdzi, że należy względami obdarzać raczej nie kochającego niż zakochanego, to poza pochwałą rozsądku jednego i naganą nierozsądku drugiego - to przecież rzeczy oczywiste - cóż może jeszcze więcej mieć do powiedzenia? Więc uważam, że na to trzeba prelegentowi pozwolić i można się z nim na tym punkcie zgodzić. W takich razach chwalić trzeba nie pomysł, tylko układ materiału; natomiast tam, gdzie coś nie jest samo przez się oczywiste i niełatwe jako pomysł, chwali się oprócz układu i sam pomysł.

FAJDROS. Zgadzam się zupełnie. Mówisz w sam raz. Zrobię i ja tak samo. Pozwolę ci wyjść z tego założenia, że zakochany jest raczej chory w porównaniu z tym, który nie kocha, a jeśli poza tym potrafisz jeszcze coś więcej i lepiej niż Lizjasz powiedzieć, to obok posągu synów Kypselosa w blasze złotej wykuty w Olimpii stawaj!

SOKRATES. Takeś się zapalił, Fajdrosie, bom zaczął twojego kochanka; ja tak tylko tobieną złość i na żart; cóż ty myślisz, że ja naprawdę chcę jego mądrość zaćmić i jeszcze bardziej figlarne malowanki będę ze słów układał?

FAJDROS. Oo, co do tego, przyjacielu, to my znamy ten chwyt. Mówić musisz, nie ma rady; tak jak potrafisz. Ale żebyśmy sobie nie zaczęli oddawać pięknym za nadobne, bo to nudne i możliwe tylko w komedii, to uważaj, żebym ci znowu nie powiedział: Wiesz, Sokratesie, jeżeli ja Sokratesa nie znam, tom i siebie samego zapomniał, i że chciał mówić, ale robił ceregiele. Więc rozważ to sobie, że nie pójdziemy stąd, zanim nie powiesz tego, coś mówił, że masz w piersi. Jesteśmy sami na pustym miejscu, a ja mocniejszy jestem i młodszy. Więc to wszystko razem wzięwszy pod uwagę, chciej zrozumieć, co ci mówię, i nie doprowadzaj do tego, żebyś pod gwałtem mówił, jak nie po dobremu.

SOKRATES. Ależ, kochany Fajdrosie; ja będę bardzo śmieszny, kiedy po znakomitym autorzezechę bez przygotowania mówić na ten sam temat.

FAJDROS. A wiesz ty co? Przestań się ze mną przekomarzać. Ja tu mam jeszcze takie stówko, którym cię zmuszę do mówienia.

SOKRATES. Nie mówże tego stówka.

FAJDROS. Przeciwnie. Właśnie że powiem. A słówkiem tym będzie przysięga. Przysięgam ci więc - tylko na które, na jakie bóstwo? o, może na ten tutaj jawor - dalibóg, jeżeli mi tu, w jego obliczu nie powiesz prelekcji, to ci nigdy już żadnego odczytu, ale to żadnego, niczyjego nie pokażę ani nie opowiem.

SOKRATES. Aj, aj, a ty gałganie, a toś znalazł sposób na moją ciekawość literacką; teraz będę musiał robić, co ci się podoba.

FAJDROS. Więc czego się znowu wykręcasz? Co ci jest?

SOKRATES. Nic już, kiedyś coś takiego poprzysiągł. Gdzieżbym ja wytrzymał bez takiego pokarmu duchowego?

FAJDROS. Więc mów!

SOKRATES. Wiesz, jak to zrobić?

FAJDROS. Co?

SOKRATES. Zasłonię się i tak będę mówił, abym jak najprędzej wysypał wszystko. Gdybyś się patrzył na ciebie, to ze wstydu nie wiedziałbym, co dalej.

FAJDROS. Mów tylko, a poza tym rób, co chcesz.

SOKRATES. W pomoc przybądźcie mi, Muzy, czy to dla śpiewu Rozgłośne, czy też od ludu gęślarzy rozgłośnych takiście dostały przydomek, opowieść moją wspomóżcie, do której mnie ten pocziwisko zmusza, aby mu się przyjaciel jego, którego już i tak miał za mędrca, teraz jeszcze mądrzejszy wydawał! Był sobie tedy chłopiec, albo raczej chłopczek, bardzo piękny. A miał miłośników bardzo wielu. Jeden z nich bardzo był miłutki a sprytny, i rozkochany był w chłopcu podobnie jak inni; przekonywać go jednak zaczął, że go nie kocha. Raz mu się tedy zaczął napraszać i dowodził tego samego, że należy obdarzać względami nie kochającego raczej niż zakochanego. A mówił tak: Przede wszystkim, mój chłopcze, jest jedna zasada, od której się wyjść musi w każdej porządnej dyskusji. Przede wszystkim potrzeba wiedzieć, o czym się mówi, albo cała dyskusja na nic, bezwarunkowo. A ludzie po większej części nie wiedzą nawet o tym, że nie znają istoty każdej rzeczy.

A jednak, tak jak gdyby ją znali, nie porozumiewają się co do tego na początku rozważań, toteż w dalszym toku za to pokutują. Bo ani się sami z sobą potem, ani z drugimi pogodzić nie mogą. Więc żeby i nas obu nie spotkało to, co innym za złe bierzemy, to skoro mamy przed sobą temat, czy się należy wdawać w przyjaźń z zakochanym raczej, czy z nie kochającym, o miłości naprzód pomówmy: czym ona jest i jaką ma władzę. Pogódźmy się naprzód co do tych określeń, a potem mając je ciągle na oku i odnosząc się do nich ustawicznie, zastanówmy się nad tym, czy miłość pożytek przynosi, czy szkodę. Że miłość jest pewnym pożądaniem, to rzecz jasna. A że i ludzie nie kochający pożądają tego, co piękne, wiemy. Więc czym się różni kochający i nie kochający? Otóż zważyć potrzeba, że w każdym z nas dwie jakieś mieszkają istoty, władczyni i przewodniczki, za którymi idziemy w tę lub w inną stronę. Jedna z nich, wrodzona, to pragnienie rozkoszy; druga to nabyty rozsądek, który się do tego zwraca, co najlepsze. I czasem się te potęgi w nas zgadzają, a bywa, że się i różnią. I raz jedna z nich, a innym razem druga panuje. Władza rozsądku, który argumentami prowadzi do tego, co najlepsze, i panuje, to "władza nad sobą", a pierwiastek pragnienia, które bezmyślnie ciągnie nas do rozkoszy i opanowuje, to "buta". Ale buta ma różne imiona. Bo wiele jest jej odmian i rodzajów. Jeśli która z tych wielu istot w kimś ponad inne wyrośnie, ten zaraz od niej przezwisko dostaje, zgoła niepiękne i całkiem nie do pozazdroszczenia. Więc ta żądza, która w zakresie odżywiania się przewyższa najlepsze argumenty i wszelkie inne pragnienia, zwie się obżarstwem, a kto ją posiada, ten od niej przydomek dostaje. W zakresie picia zaś niepodzielnie władająca i wiodąca do tego ludzi, którymi owładnie, jasna rzecz, jak się będzie zwała. Znamy i inne pokrewne żądze i wiemy, jak w każdym wypadku nazwać tę, która nad innymi i nad człowiekiem włada. I doskonale już teraz widać to, do czego nasze dotychczasowe rozważania zmierzały. A lepiej, że się to powiedziało, niż gdyby nie, bo wszystko teraz jakoś jaśniej występuje. Ta żądza, która bezmyślnie rozsądek nasz opanowuje, rozsądek mający na celu to, co słuszne, a sama nas wiedzie do rozkoszy, jaką piękność daje, żądza, którą pokrewne jej pragnienia do piękna ciała popędzają, ta żądza, ten pęd zwycięski od swojej potęgi popędem miłosnym się zwie. No co, Fajdrosie kochany, uważasz i ty, że coś jakby bóg we mnie wstąpił?

FAJDROS. Tak, tak, Sokratesie, coś niezwykłego u ciebie; tak cię coś pędzi!

SOKRATES. Więc w milczeniu mnie słuchaj. Doprawdy, to jakieś cudowne miejsce; jak będę dalej mówił, a zacznę mnie raz po raz nimfy brać, to się nie dziw. Już teraz mówię prawie w dytyrambach.

FAJDROS. Naprawdę, że tak.

SOKRATES. To tylko przez ciebie. Ale słuchaj reszty. Może mnie nie zaraz nawiedzi to, coma przyjąć. Bogu to zostawmy zresztą, a sami wracajmy do chłopaka i do naszych roztrząsań. Więc tak, przyjacielu. Czym jest to, o czym mówić mamy, powiedzieliśmy i określili. Więc pamiętając o tym,

idźmy dalej i powiedzmy, jaki pożytek względnie jaka szkoda czekać może człowieka oddanego miłości ze strony kogoś kochającego względnie nie kochającego. Oczywiście, że oświecony żądzą a niewolnik rozkoszy będzie tak kochanka przyrządzał, żeby mu był jak najmiłszy. A choremu wszystko mile, co mu oporu nie stawia, a tylko co mocniejsze albo i równej jak on siły, to mu niemiłe. Więc zakochany nigdy nie zniesie tego, żeby go kochanek wartością przewyższał albo był mu równy; przeciwnie, zawsze go sam słabszym robi i biedniejszym. Słabszym zaś jest nieuk w porównaniu z mądrym, tchórz w porównaniu z odważnym, nie umiejący dwóch słów złożyć w porównaniu z mówcą, tępą głowa w porównaniu z bystrym. Kiedy tyle i wiele innych intelektualnych braków zaczyna objawiać kochanek i tyle ich ma z natury rzeczy, to zakochany z jednych się cieszyć musi, a o inne sam się stara, jeśli go nie ma ominąć przyjemność chwilowa. I musi być zazdrosny i utrudniać kochankowi wszelkie inne stosunki pożyteczne, w których by on dopiero wyrósł na człowieka. Ogromną mu tym szkodę wyrządza, a największą tym, że przed nim najlepsze źródło mądrości zamyka. Tym źródłem boskim jest filozofia, od której miłośnik musi kochanka odwozić i trzymać go od niej z daleka, bo się boi, żeby nim młody człowiek nie wzgardził. Wszystko możliwe będzie robił, żeby kochanek o niczym w ogóle nie miał pojęcia, a tylko się na miłośnika oglądał. Jemu z takim najlepiej, ale to właśnie najgorsze dla tamtego. Więc o ile chodzi o rozwój umysłowy, to człowiek nawiedzony miłością żadną miarą się nie nadaje na kierownika ni na towarzysza. A jak taki człowiek, który pod przymusem wewnętrznym gonić musi za tym, co przyjemne, a nie za tym, co dobre, jak on będzie dbał o to ciało, którym zdołał oświecić, tym się teraz zajmijmy. Zobaczysz; będzie szukał miękkiego; on twardego nie chce, nie odpowiada mu to, które w czystym blasku słońca wyrosło, ale gdzieś w półcieniu zatęchłym, on lubi ciało takie, co nie zna trudów i walk i nie pamięta potu zaschłego na sobie, a zna tylko miękki, niemęski tryb życia, także ozdobione niewłasnymi farbami w braku własnych barw, i jakie tam jeszcze za tym idą nawyczki. To jasna rzecz i nie ma się co nad tym rozwodzić. Pod jeden wspólny nagłówek wszystko to podciągnijmy a idźmy dalej. Takie ciało na wojnie i w innej potrzebie poważniejszej to dla nieprzyjaciół pociecha, a dla przyjaciół, a nawet dla samych miłośników, strach! To jasne; zostawmy to. Z kolei rzeczy powiedzmy, jaki pożytek lub jaką szkodę na mieniu przynosi obcowanie z miłośnikiem i jego kierunek moralny. Zrozumie to każdy, a zakochany najlepiej, że miłośnik najwięcej by pragnął, aby jego kochankowi brakło dóbr najbliższych sercu, najzyczliwszych dusz, darów wprost od boga zesłanych. Niechby był sierotą, nie miał ojca i matki, ni krewnych i przyjaciół; oni go tylko ganią ciągle i utrudniają mu ono przemiłe obcowanie.

A jeśli kochanek zamożny, ma pieniądze czy jakieś inne dobra, będzie się miłośnik krzywił, bo chłopca wtedy dostać trudniej, a jeśli go już dostał w ręce, nie tak łatwo nim wtedy kierować. Wynika stąd jasno, że miłośnik musi zawistnym okiem patrzeć na majątek kochanka i cieszyć się, jeśli ten majątek przepada. Więc i bezzennym, bezdzielnym, bezdomnym, i to jak najdłużej, rad by mieć kochanka; jak najdłużej pragnie sam tylko zrywać owoce, które mu tak smakują. Są i inne licha na świecie, ale diabeł jakiś domieszał do każdego prawie pewien moment rozkoszy. To tak jak z pochlebcą: straszna to bestia i nieszczęście wielkie, a jednak natura w nim rozpuściła jakąś kroplę przyjemności; kroplę nie bez uroku. Tak samo gani niejeden dziewczynę publiczną jako element szkodliwy, i inne takie nasienie czy zajęcie ludzkie, a jednak bywają takie dni, właśnie te rzeczy dają człowiekowi bodajże największą przyjemność. Dla kochanka jednak jest miłośnik nie tylko szkodliwy, ale jako towarzystwo na co dzień zgoła nieznośny. Toteż i stare przysłowie powiada, że zawsze szuka swój swego. Nic dziwnego, uważam: ludzie równego wieku jednakie mają przyjemności, podobni są i stąd łatwo o przyjaźń między nimi. A jednak i tacy miewają siebie dość. Z drugiej strony nic tak człowiekowi nie ciąży jak przymus. A to właśnie wchodzi w grę obok różnicy wieku w stosunku między miłośnikiem i kochankiem. Bo ten starszy, żyjąc z młodszym od siebie, nie odstępował go ani w dzień, ani w nocy; jakiś go mus wewnętrzny, jakieś żądło ukryte pędzi i daje mu nieprzerwany szereg przyjemności: on kochanka widzi, słyszy, dotyka, pije go wszystkimi zmysłami, służy mu wiernie z rozkoszą. Tak, ale cóż stąd za pociecha dla kochanka i jakąż mu miłośnik rozkosz dać potrafi, aby mu w ciągu długich dni i i nocy pożycia nie zaczęło życie brzydnąć do ostateczności? Toż on patrzeć musi na twarz już starą i przekwitłą, a za tym idą inne rzeczy, o których i słuchać niemiło, a cóż dopiero mieć z nimi ciągle do czynienia pod ustawicznym przymusem? A ten nadzór ciągły i podejrzenia, a to pilnowanie na każdym kroku i przed wszystkimi, a te niewczesne komplementy i przesadne, a wyrzuty, których by człowiek nawet od trzeźwego nie zniósł, a cóż dopiero od nietrzeźwego, gdzie się i wstyd dołącza, bo ten się całkiem nie krępuje w grubiaństwach. Jak długo kochał, szkodliwy był i wstrętny, a kiedy kochać przestał, nie zna żadnych obowiązków na przyszłość, o której tyle mówił i przysięgał, nieraz błagał i przyrzekał, aż wreszcie utrzymał z biedą to pożycie ciężkie, ale ostatecznie jeszcze znośne w ponętnym świetle przyszłych wynagrodzeń. Teraz, kiedy się czas uiszczyć z moralnego długu, on zmienia pana i władcę w swym wnętrzu: ma teraz rozum i moc nad sobą zamiast miłości i szału; kochanek nie sprostrega nawet, jak się z miłośnika zrobił inny człowiek. Żąda nagrody za to co, co było, i przypomina dawne postępy i słowa, jak gdyby mówił do tego samego człowieka. A ten się wstydzi i nie śmie się przyznać, że już jest kimś innym i nie może dotrzymać owych przysięg i obietnic, które był ów dawny jego bezrozumny rząd wewnętrzny złożył. On dziś już ma rozum, już wytrzeźwiał; nie może postępować tak jak dawniej, aby nie zaczął być do siebie dawnego podobnym i nie stał się znowu tym samym. Zbiegiem się staje z tego wszystkiego; musi się teraz sam usunąć; on, dawny miłośnik; skorupka padła w drugą stronę; on się rzuca na łeb do ucieczki. A tamten musi go ścigać; rzuca się i

przeklina, a nie wiedział tego i nie pamiętał na samym początku, że nic należało względami obdarzać takiego, który kocha, a żalem nic ma rozumu, ale raczej już takiego, który nie kocha i ma rozum. A jeśli nie, to się oddać w ręce tego przechery, grubianina, zazdrośnika, obrzydliwca, szkodnika, który jest zgubą dla majątku, zgubą dla rozwoju ciała, ale największą zgubą dla wychowania duszy, nad którą nic cenniejszego ani ludzie, ani bogowie nie mają ani mieć nie będą. Trzeba się nad tym, chłopcze, zastanowić i wiedzieć, co to jest przyjaźń miłośnika, że ona nie z dobrego serca rośnie, ale jak potrawa jaka ma tylko nasycić głód. Jak wilcy lubią barana, tak chłopca kocha miłośnik. Tyle więc, Fajdrocie. Już nic więcej ode mnie nie usłyszysz - to już niech będzie koniec prelekcji.

FAJDROS. Byłem przekonany, że to dopiero połowa i jeszcze tyle samo powiesz o tym, który nie kocha, że jego raczej należy względami obdarzać. Trzeba przecież znowu jego zalety omówić. Czemu więc teraz urywasz, Sokratesie?

SOKRATES. Nie uważałeś, że już zaczynam heksametry pięć zamiast dytyrambów, i to kiedymganił? Jak myślisz, co będę wyrabiał, kiedy zacznę chwalić tamtego? Bądź pewny, że we mnie nimfy wstąpią, boś ty mnie umyślnie podał im na igraszkę. Więc jednym słowem powiadam, że ileśmy tamtemu łatek przypięli, tyle ten znowu zalet posiada. Po co długo mówić? O jednym i drugim dość się już mówiło. Już się koniec należy naszej opowieści. Już i ja pójdę poprzez tę rzeczkę do domu, żebyś mnie znowu do czegoś cięższego jeszcze nie zmuszał.

FAJDROS. No, nie jeszcze, Sokratesie, pokąd upał nie przejdzie! Nie widzisz, że słońce stoiw samym szczycie drogi? Zostańmy jeszcze trochę; pogadamy i pójdziemy zaraz, jak się tylko ochłodzi.

SOKRATES. Jeśli o mowy chodzi, to ty jesteś boski, Fajdrocie, i doprawdy zadziwiasz płodnościąautorską. Przecież z mów, wypowiedzianych za twojego życia, nikt ich chyba tyle nie spłodził co ty. Bo albo sam mówisz, albo drugich do mówienia gwałcisz, więc nie mówiąc o Simiaszu z Teb innych autorów przewyższasz bez żadnego porównania. Mam wrażenie, że dziś będziesz znowu takim ojcem jednej mowy.

FAJDROS. No, to przecież nie zaczepka! Ale jak to, jakiejże?

SOKRATES. Kiedym chciał, mój dobrodzieju, przejść rzeczkę na drugą stronę, boski głos poczułem - zwyczajny to u mnie znak, zawsze mnie powstrzymuje, kiedy coś mam zrobić - więc jakbym jakiś głos stamtąd usłyszał,

który mi nie pozwalał odejść, zanim się nic oczyszczę, bom oto zgrzeszył przeciwko bóstwu. Jestem ci ja wieszczek, tylko niewiele wart, ale tak jak niewprawny w pisaniu: tyle tylko, co na swoje własne potrzeby. Już wiem teraz, jaki to był grzech. Że ci też to, przyjacielu, i dusza jest niby wieszczkiem! Bo ja już i przedtem, kiedym mówił tę mowę, miałem jakiś niepokój i tak się niejako oglądałem poza siebie, bojąc się, jak Ibikos powiada, czy bogom w czym nie uchybiam dla marnej sławy u ludzi. A teraz, widzę, grzech!

FAJDROS. Grzech, powiadasz; jaki?

SOKRATES. Straszną, Fajdrocie, straszną mowę czytałeś i że mnieś taką wymusił!

FAJDROS. Jak to?

SOKRATES Głupią, a nawet bezbożną! Cóż może być straszniejszego?

FAJDROS. No nic, jeżeli jest tak, jak mówisz.

SOKRATES. Bo jakże? Czy nie wierzysz, że Eros to syn Afrodyty i bóg?

FAJDROS. Powiadają, że tak.

SOKRATES. Tak jest, ale nie tak mówił Lizjasz, ani twoja mowa, ani moje usta, któreś tyurzekł i zatrul. Bo jeśli Eros to bóg lub jakiś boski pierwiastek, a on tym jest naprawdę, to nie może być niczym złym. A tak o nim mówiły obie mowy dzisiaj. Więc to był grzech przeciw Erosowi. I co za wyszukana tych mów głupota: żeby nic mądrego ani prawdziwego nie powiedzieć, a wyglądać tak uroczyście, jakby nie wiadomo co, byle się tym tylko jacyś ludziska bałamucili a nie szczędzili pochwał. Mnie tedy, przyjacielu, oczyszczenia trzeba. A jest starodawne oczyszczenie dla tych, którzy przeciwko nauce o

bogach grzech popełnili; Homer go nie znał, ale znał je Stezichor. Przecież stracił wzrok za to, że bluźnił przeciwko Helenie; ale gdy Homer nie znał przyczyny, Stezichor, Muz przyjaciel, doszedł, skąd utrata wzroku, i zaraz pisze: "Nieprawdą były słowa me: twa stopa okrętu nie tknęła; nie widział cię Troi gród". I jak tylko tę przebiegłą pieśń napisał, zaraz wzrok odzyskał. Więc ja będę mądrzejszy niż oni w tym położeniu. Bo zanim mi się co stanie za to bluźnierstwo przeciw Erosowi, spróbuję mu oddać pieśń przebiegłą, z odkrytą głową, a nie, jak przedtem, ze wstydu zakryty.

FAJDROS. Sokratesie, nie mogłeś mi nic przyjemniejszego powiedzieć.

SOKRATES. No tak, zacny Fajdrosie, nie uważasz, jakie to były bezecne mowy obydwie: taostatnia i tamta, odczytana z rękopisu. Gdyby nas tak był słyszał jakiś przyzwoity, dzielny człowiek, a łagodnego usposobienia, który by albo teraz, albo kiedyś dawniej kochał kogoś takiego jak on sam, a myśmy mówili, jak to kochankowie awantury wszczynają o drobiazgi i zazdrośni są, i szkody kochankom przynoszą, to byłby z pewnością myślał, żeśmy się gdzieś między marynarzami wychowali, a żaden z nas nie widział, jak się przyzwoici ludzie kochają. Nie myślisz tak? Gdzieżby się on był z nami zgodził na te nagany Erosa!?

FAJDROS. A może być, na Zeusa, no wiesz, Sokratesie!

SOKRATES. Więc ja się tych rzecz y wstydę, a przy tym boję się Erosa, więc chciałbym juźczystymi słowy słony smak tamtych mów z uszu spłukać. A Lizjaszowi także bym radził, niech czym prędzej napisze, że w równych okolicznościach należy raczej zakochanemu folgować niż temu, który nie kocha.

FAJDROS. Ale bądź pewny, że tak. Toż jak tylko powiesz pochwałę miłośnika, ja z wszelką pewnością wymuszę to na Lizjaszu, żeby mowę na ten temat napisał.

SOKRATES. W to bardzo wierzę, o ile nie przestaniesz być sobą.

FAJDROS. Więc bądź o to spokojny i mów!

SOKRATES. Ale gdzież ten chłopak, do którego mówiłem? Niechże i tego posłucha; jeszcze się gotów pośpieszyć i oddać się takiemu, co nie kocha.

FAJDROS. Ten przy tobie bardzo blisko; zawsze przy tobie, kiedy tylko chcesz.

SOKRATES. Więc tak, piękny chłopczyku, rozważ to sobie, że poprzednią mowę mówił Rozpromieniony, syn Węszysława z Mirtowych Gaików, a tę, którą teraz powiem, mówi Stechizor, syn Świętosława z Uroczyśka Wielkiego. A mówi tak: Nieprawdą były słowa te, że gdy jest pod ręką miłośnik, lepiej się oddać temu, co nie kocha, niż zakochanemu, bo ten jest maniak, a tamten ma zdrowe zmysły. Bo gdyby to było takie proste, że mania to coś złego, to jeszcze. Tymczasem my największe dobra zawdzięczamy szaleństwu, które, co prawda, bóg nam zsyłać raczy. Przecież ta prorokini w Delfach i owe kapłanki w Dodonie już wiele dobrego zrobiły ludziom i państwu helleńskiemu w szale, a po trzeciemu mało co albo i nic. Albo weźmy Sybillę i inne postacie wieszczym duchem opętane; one niejednemu już niejedno przepowiedziały i dobrze się tak stało. To rzeczy tak znane i jasne każdemu, że nie warto się nad nimi rozpowodzić. Ale to warto stwierdzić, że i starożytni Hellenowie, którzy słowa greckie tworzyli, nie uważali manii za coś brzydkiego ani za obelgę. Boby nie byli wpleli tego wyrazu w nazwę bardzo pięknej sztuki, która przyszłość ocenia, a którą oni "maniką" nazwali. Widocznie wierzyli, że szal to piękna rzecz, o ile go wyroki opatrności ześlą, i stąd ta nazwa. A tylko współcześni, nie mając smaku za grosz, wsadzili tam literę: nie wiadomo po co, i zrobili z niej "mantikę". Podobnie i tę sztukę, z pomocą której ludzie o zdrowych zmysłach przyszłość próbują odsłaniać, uważając na lot ptaków i inne wróżby, i kabałki, aby domysłem ludzkim dać podstawę myślową - rodzaj wiedzy; starożytni to wiedźbiarstwem nazwali, a dziś ją współcześni, zadowoleni z nowego, płynniejszego dźwięku "szcz", wieszczbiarstwem zwą. O ile więc doskonalsza jest i zacniejsza mantika od wieszczbiarstwa, zarówno słowo od słowa, jak i rzecz sama od rzeczy, tak też, wedle świadectwa starożytnych, piękniejsze jest szaleństwo od rozsądku, bo tamto od boga pochodzi, a ten jest od ludzi. Bywało też, że choroby i nieszczęścia największe, jak to w niektórych rodach za jakieś dawne zbrodnie bywa, ustępują, kiedy szaleństwo przyjdzie, a z nim proroczy głos, komu potrzeba, i modły, i nabożeństwa, a stąd oczyszczenie i uświęcenie dotkniętego szaleństwem, który już odtąd wolny jest ode złego i bezpieczny na przyszłość.

Oto dobry szal zbawia opętańca ode złego. Trzeci od Muz pochodzi szal i natchnienie takie, co młodą, świeżą, czystą duszę porywa, a ona się budzi i wybucha w pieśniach i w innej twórczości artysty, a tysiączne czyny przodków zdobiąc, potomnych wychowuje. Kto bez tego szalu Muz do wrót poezji

przystępuje, przekonany, że dzięki samej technice będzie wielkim artystą, ten nie ma święceń potrzebnych i twórczość szaleńców zaćmi jego sztukę z rozsądku zrodzoną. Tyle i więcej jeszcze mógłbym ci wymienić błogosławieństw, jakie szał od bogów zesłany sprowadza. Więc się o to nie bójmy i niech nas taka mowa nie straszy, która się bać każe przyjaźni opętańca, a obierać przyjaźń rozsądnego. Palmę zwycięstwa przyznamy jej dopiero wtedy, gdy nas przekona, że to na nieszczęście kochanków i zakochanych bogowie miłość zysłają. My tymczasem wprost przeciwnie dowieść mamy, że największym szczęściem jest szał tego rodzaju, największym darem boskim. Mędrzec tych wywodów nie uzna; mędrzec w nich znajdzie prawdę. Naprzód więc naturę duszy, zarówno boskiej, jak i ludzkiej, rozpatrzmy, przyjrzyjmy się jej stanom biernym i czynnym, a prawdę zobaczymy. Początek zaś wywodów taki. Wszelka dusza jest nieśmiertelna. Bo co się wiecznie rusza, nie umiera. Tylko to, co inne rzeczy porusza, a samo skądinąd ruch bierze, mając koniec ruchu, ma też i koniec życia. Jedynie tylko to, co samo siebie porusza, jako iż samo siebie nie opuści, nigdy się poruszać nie przestaje, ale jest dla wszystkich innych rzeczy, którym ruch nadaje, ruchu tego źródłem i początkiem. A początek nie ma chwili narodzin. Z niego się rodzić musi wszystko, co się tylko rodzi, ale on sam z niczego. Przecież gdyby się rodził z czegoś, nie byłby początkiem. A skoro jest nie zrodzony, musi też być i niezniszczalny. Bo gdyby początek zginął, to aniby już on sam z czegokolwiek, aniby nic z niego nie powstało, skoro wszystko się musi z niego rodzić. Tak więc początkiem ruchu jest to, co samo siebie porusza. A to ani ginać, ani się rodzić nie może, boby się całe niebo i wszystko stworzenie zważyło i stanęło, a nie miałyby skąd znowu ruchu nabrać i przyjść na świat. Skoro się tedy pokazuje, że nieśmiertelne jest to, co samo siebie porusza, wolno powiedzieć zupełnie śmiało, że to właśnie jest istota i pojęcie duszy. Bo każde ciało, które ruch bierze z zewnątrz, jest bezduszne, martwe, a które z wnętrza, samo z siebie, to ma duszę, bo taka jest natura duszy. Jeżeli tak jest rzeczywiście, że niczym innym nie jest to, co porusza samo siebie, jak tylko duszą, to z konieczności dusza będzie nie zrodzoną i nieśmiertelną. Więc o nieśmiertelności jej dość. A o istocie jej to trzeba powiedzieć: Jaką jest w ogóle i pod każdym względem, na to potrzeba boskich i długich wywodów, ale do czego jest podobna, na to wystarczą ludzkie i krótsze. Tak więc mówmy. Niechaj tedy będzie podobna do w jedno zrosłej siły skrzydlatego zaprzęgu i woźnicy. U bogów i konie, i woźnice, wszystko to dzielne i z dobrego rodu, a u innych mieszanina. I tak, naprzód parą musi powozić nasz wódz, a potem konia ma jednego doskonałego, z pięknej i dobrej rasy, a drugiego z całkiem przeciwnej, rumaka zupełnie tamtemu przeciwnego. Ciężkie to i trudne, oczywiście, powożenie nami. Otóż skąd poszła nazwa śmiertelników i nieśmiertelnych, spróbujmy powiedzieć. Dusza w ogóle włada nad tym, co bezduszne, i po całym świecie wędruje, rodząc się tu w tej, a tam w innej postaci. A że doskonała jest i skrzydłata, więc po niebie lata i całym światem włada, i gospodaruje w nim jak u siebie w domu. A jeśli pióra straci, spada, aż coś stałego napotka, uchwyci i zamieszka tam, ciało ziemskie na siebie wzięwszy, które teraz, niby samo z siebie, poruszać się zaczyna dzięki jej sile i nazwę otrzymuje wszelkiej istoty żywej. Taki kompleks duszy i ciała nazywa się śmiertelnikiem. Nieśmiertelnym zaś, bez żadnej logicznej postawy, tylko dzięki naszej fantazji, wyobrażamy sobie boga, któregośmy ani nie widzieli, ani nie pojęli należycie, niby jakąś istotę żywą, a nieśmiertelną: istotę, która ma duszę i ma ciało, a tylko one się zrosły ze sobą na wieki. No, takie wyobrażenia, doprawdy, jeśli taka wola boża, niech już takie zostaną; nie brońmy nikomu tak mówić. Ale dlaczego dusza skrzydła traci, dlaczego jej odpadają, weźmy to - przyczyna jest taka mniej więcej: Przyrodzoną mają skrzydła siłę, to, co ciężkie, podnosić w górę, w niebo, gdzie bogów rodzina mieszka. Żadne ciało nie ma w sobie tyle boskiego pierwiastka, co skrzydła. A boski pierwiastek - to piękno, dobro, rozum i wszystkie tym podobne rzeczy. Takim pokarmem się żywią i z niego rosną najszybciej pióra duszy, a od bezeceństwa i zła marnieją i nikną. Wielki wódz wszechrzeczy, Zeus, przodem pędzi na wozie skrzydlatym, porządkuje wszystko i na wszystko baczny, i wszystkim zarządza. A za nim wojsko bogów i duchów dobrych i złych w jedenastu oddziałach. Bo tylko Hestia sama jedna w przybytku bogów pozo- staje. A z innych bogów, w dwunastkę uporządkowanych, każdy dowodzi tym szykiem, na którego czele został postawiony. Liczne i cudowne bywają we wszechświecie widowiska i pochody, kiedy szczęśliwy bogów ród wszechświat przebiega, a każdy z nich czyni, co do niego należy. A idzie za nimi każdy, kto tylko chce i może, bo zawiść poza chórem bogów stoi. A kiedy idą na ucztę, na biesiadę, przechodzą pod samym szczytem niebieskiej kopuły. Rydwany bogów równiuteńko idą, łatwo nimi kierować; inne wozy gorzej. Bo koń, który ma w sobie zło, ciągnie w dół, ku ziemi ciągnie, jeśli go woźnica dobrze nie wychował. Tu się dusza najwięcej trudzić i wyęźać musi. Bo istoty zwane nieśmiertelnymi, kiedy dojdą do szczytu, stają na grzbiecie nieba i stojąco zjeżdżają po sklepieniu na drugą stronę, a te tylko patrzą na to, co poza niebem. A miejsca tego, które jest ponad niebem, ani nie oddał nigdy żaden z poetów ziemskich w pieśni, ani go w pieśni godnie oddać zdoła.

A ono takie (nie bójmy się prawdy, skoro już świat prawdy słowami malujemy): Miejsce to zajmuje nie ubrana w barwy, ani w kształty, ani w słowa istota istotnie istniejąca, którą sam jeden tylko rozum, duszy kierownik, oglądać może. Naokoło niej świat przedmiotów prawdziwej wiedzy. A że boski umysł rozumem się karmi i najczystsza wiedzą, a podobnie umysł każdej duszy, która chce przyjmować to, co jej odpowiada, przeto każda się radością napełnia, kiedy byt od czasu do czasu zobaczy, widokiem prawdy się karmi i rozradowuje, aż ją obręcz drogi znowu na to samo miejsce przyniesie. A podczas tego obiegu ogląda sprawiedliwość samą, ogląda władzę nad sobą, ogląda wiedzę nie tę, która się z wolna tworzyć musi, a jest różna o różnych rzeczach, które my dziś bytami nazywamy, ale wiedzę

rzeczywiście istniejącą, o tym, co jest istotnym bytem. I inne, tak samo istotne byty ogląda, a tym się nakarmiwszy, z powrotem się w głąb wszechświata zanurza i do domu wraca. A kiedy wróci do domu, woźnica konie u żłobu stawia, ambrozję im rzuca a nektarem poi. Oto jak żyją bogowie. A z innych dusz taka, co najlepiej za bogiem szła i była mu najpodobniejsza, ponad głowę woźnicy w miejsce poza niebem zagląda i drogę okrężną odbywa, ale jej konie przeszkadzają ciągle, tak że ledwie się może bytom rzeczywistym przyjrzeć. A inna raz się podnosi, raz zniża; konie jej patrzeć nie dają, więc jedno zobaczy, a drugiego nie dojrzy. A inne za nią, choć się wszystkie rwą do góry, nie mają sił dotrzymać kroku, toną w tłumie, który je okrężną drogą niesie, depcą się nawzajem i roztrącają, bo się jedna ciśnie przed drugą. Robi się ciżba, hałas, ścisk i pot okropny. Przez niedołęstwo woźniców niejedna tam zostaje kaleką; niejednej się skrzydła połamia. Wszystkie razem zmordowane strasznie, jako iż niegodne były bytu rzeczywistego oglądać, odchodzą, a odszedłszy pożywają pokarm prawdopodobieństwa. A czemu się tak rwą gwałtownie, żeby oglądać zagony prawdy, widzieć, gdzie one są - to dlatego, że tam, właśnie na tym łanie, rośnie pokarm, którego najlepsza część duszy potrzebuje; z niego nabierają siły skrzydła, które duszę unoszą do góry. A oto prawo Konieczności: jeśli która dusza, za bogiem w ślad idąc, zobaczy coś ze świata prawdy, nic się jej stać nic może aż do następnego obiegu, i jeśli by to zawsze potrafiła, nigdy żadnej szkody nie poniesie. Ale jeśli nic zdoła dociągnąć do szczytu i nic nie zobaczy, a przypadkiem jakimś napije się niepamięci i złością się ciężką napęlni, a ociężała pióra straci i na ziemię spadnie, nic wolno jej wtedy wejść w żaden organizm zwierzęcy przy tych pierwszych narodzinach; prawo nakazuje, żeby ta, co najwięcej zobaczy, weszła w zarodek człowieka, który będzie filozofem albo będzie oddany pięknu, Muzom jakimś lub miłości, a druga w ciało króla, który praw słucha, wojownika lub władcy, trzecia w polityka, gospodarza, wielkiego przedsiębiorcy, czwarta wejdzie w zapalonego gimnastyka albo jakiegoś lekarza, piątej żywiołem będą wróżby i misteria, szóstej żywot przypadnie twórcy lub naśladowcy, siódmej rzemiosło lub rola, ósma to będzie sofista lub mówca ludowy, dziewiąta - tyran. A w tych wszystkich żywotach, kto się dobrze prowadzi, lepszy los dostaje w udziale, a kto źle, ten gorszy. A na to samo miejsce, skąd przychodzi dusza każda, nie wróci żadna, nim dziesięć tysięcy lat minie. Bo nie odrosną jej pióra prędzej, chyba że się ktoś filozofii bez kruczków oddawał albo kochał młodych ludzi jak filozof. Takie dusze po trzecim okresie tysiącletnim, jeśli trzy razy z kolei taki żywot wybrały, dostają pióra na nowo i w trzytyśiącnym roku odlatują. A inne, kiedy pierwszy żywot ukończą, idą na sąd. A po sądzie jedne do więzień podziemnych idą karę odbywać, a inne, łżejsze po wyroku, odchodzą w jakieś miejsce wszechświata, gdzie pędzą żywot taki, na jaki w ludzkiej postaci zasłużyły. A po tysiącu lat przychodzą jedne i drugie ciągnąć losy i wybierać nowe życie. A wybiera każda takie, jakie chce. Tam i w zwierzęce ciało dusza człowieka przechodzi, a ze zwierzęcia, które kiedyś było człowiekiem, znowu w człowieka wstępuje. Ale ta, która nigdy prawdy nie oglądała, nigdy do tej nie przyjdzie postaci. Bo człowiek musi rozumieć pojęcia rodzajów, kiedy rozumowanie od wielu spostrzeżeń rozpoczyna, a potem je myślą w jedno zbiera. A to jest przypominanie sobie tego, co niegdyś oglądała nasza dusza, kiedy z bogiem wędrowała i nie patrzyła nawet na to, co my dziś rzeczywistością nazywamy, kiedy wychylała głowę w sferę bytu istotnego. Toteż słusznie jedynie tylko dusza filozofa ma skrzydła. Bo jej pamięć zawsze wedle sił do tego się zwraca, co nawet bogu boskości użycza. Człowiek, który w takich przypomnieniach żyje jak należy i doskonałych zawsze święceń dostępuje, tylko on jeden istotnie doskonałym się staje. A że o ludzkich sprawach zapomina, a z tym, co boskie, obcuje, gani go wielu jako narwańca, ale że bóg w nim mieszka, o tym nie wiedzą ci, których jest wielu. Wszystko to, cośmy dotąd mówili, tyczy się czwartego rodzaju szaleństwa, którym człowiek dotknięty, jeśli piękność ziemską zobaczy, przypomina sobie piękność prawdziwą i oto skrzydła mu odrastają; on je rozpinąć usiłuje i chciałby wzlecieć, a nie może; tedy, jak ptak, w górę tylko patrzy, a że nie dba o to, co na dole, przeto go ludzie biorą za wariata. Ze wszystkich szaleństw takie obłąkanie najlepsze i z najlepszych źródeł spływa na człowieka wprost albo się go człowiek skądś nabawia i kocha piękno, a ludzie mówią, że jest kochliwy. Bo jakeśmy mówili, w naturze każdej duszy człowieka leży oglądanie bytów; inaczej by nie była weszła w nasze ciało. Ale przypomnieć sobie z tego, co tu, rzeczy z tamtego świata, nie każda dusza równie łatwo potrafi, bo niejedna za krótko widziała to, co tam, a inna, spadłszy tu, nie miała szczęścia i jakimś podobieństwem zwiedziona tknęła się grzechu i zapomina o tym świętym, co kiedyś oglądała.

Mało która pamięta należycie. I taka, jeśli kiedy zobaczy coś podobnego do tego, co tam, zapamiętywa się i już nie panuje nad sobą i nie wie, co się z nią dzieje, bo nie rozpoznaje należycie swego stanu. Toteż sprawiedliwość i władza nad sobą i inne wartości duchowe nie mają swych odbłasków w podobiznach ziemskich; przeto z trudem tylko, i to nieliczni ludzie, patrząc, jak przez zapocone szkła, na ich wizerunki tutaj, umieją dojrzeć rodzaj przedmiotów odbitych. A piękno wtedy można było widzieć w pełnym blasku, kiedyśmy wraz z chórem istot szczęśliwych błogosławione widowisko oglądali; my tuż za Zeusem, a inni za innymi bogami; kiedyśmy święceń dostępowali, otwierających tajemne bramy szczęścia najwyższego, kiedyśmy w obchodzie owym udział brali nieskalani i nie znali jeszcze zła, jakie na nas później przyszło, i owe niepokalane, proste, niezmiennie i błogosławione tajemnice oglądali z bliska w blasku przeczystym, czysti sami i nie pogrzebani jeszcze w tym, co dziś ciałem nazywamy, a nosimy to na sobie jak ostrygi w skorupach zamknięte. Niechże pozdrowiona będzie ta pamięć, przez którą, tęskniąc za tym, co wtedy, mówiliśmy teraz o tym trochę dłużej. A o piękności tośmy już mówili, że między tamtymi świeciła jako byt, a my tutaj przyszedłszy chwytamy ją najjaśniejszym ze zmysłów naszych: blask od niej bije świetny. A najbystrzejszym ze zmysłów naszych

cielesnych jest wzrok. Rozumu nim widzieć nie można, bo straszne by stąd wynikały szaleństwa miłosne, gdyby coś takiego jak rozum dawać mogło oczom swe wiernie odbicie albo gdyby je dawał jakiś inny byt kochania godny. Sama tylko piękność ma ten przymiot. Los nam ją najjaśniej widzieć pozwolił i najgoręcej kochać. Toteż człowieka, który zbyt dawno odebrał one tajemne święcenia, albo człowieka zepsutego nie bardzo ciągnie stąd do tamtego świata, do piękności samej, kiedy ogląda jakiś ziemski przedmiot, nazwę piękności noszący. On się do piękności nie modli oczyma, ale rozkoszy oddany okraci się na nią pcha, jak czworonożne zwierzę, i brać ją chce; a butą uniesiony, nie boi się i nie wstydzi szukać rozkoszy nawet przeciw naturze. Ale ten, który świeżo przeszedł święcenia, a wiele tam, na tamtym świecie widział, kiedy zobaczy twarz jakąś lub postać do bogów podobną, która piękność dobrze naśladuje, to naprzód dreszcz po nim chodzi, coś z owych lęków tam wtedy. A potem patrzy na nią, modląc się oczyma jak przed ołtarzem bóstwa i gdyby się nie bał, że go za kompletnego wariata wezmą, kładłby jak przed posągami, jak przed bogiem samym, ofiary u stóp kochanka. Zobaczył go, a oto po pierwszym dreszczu odmiana. Pot go oblewa i gorącość go ogarnia niewycieczna. Bo oto weszły weń przez oczy promienie piękna i rozgrzały w nim soki odżywcze dla piór. A gdy się soki ogrzeją, zaczyna tajać twarda powłoka, w której od dawna zarodki piór zamknięte tkwiły, a kielkować nic mogły. Kiedy teraz pokarm napływa, zaczynają pęcznieć i od korzonków rosnać trzony piór po całej duszy, bo cała była niegdyś w piórach. Więc kipi w niej teraz wszystko i wytryska, i tak. Jak ten, któremu zęby wyrastają, jakieś ma swędzenia i ból w dziąsłach, tak samo czuje się dusza człowieka, który zaczął pióra puszczać. Coś w niej kipi i coś się burzy, i boli, i łechce, kiedy pióra rosną. I tylko kiedy na piękność kochanka patrzy i bierze w siebie cząstki, które z niego promieniami idą, a nazywają się urokiem, natenczas się rozplywa i rozgrzewa, przestaje się męczyć i napełnia się radością. Ale gdy się oddali, przeschnie, zsuchają się, krzepną i zatykają ujścia, którymi pióra wychodzić miały, i zarodki piór pozamykane w swoich torebkach, a skropione urokiem, tłuc się zaczynają na podobieństwo tętnic i wciskać ostrzami w ujścia swoich komór, tak że dusza ze wszech stron tysiącem żądań dżgana wścieka się i cierpi. A kiedy sobie przypomni to, co piękne, raduje się. Miesza się w niej radość i wściekłość, i stąd jej rozpacz; dziwnie głupi stan wewnętrzny: człowiek nie wie, co się z nim dzieje, i jest wściekły. Chodzi jak wariat i ani w nocy spać, ani w dzień sobie miejsca znaleźć nic może. Tęskni i goni tam, gdzie się spodziewa zobaczyć tego, co ma piękność. A gdy zobaczy i weźmie w siebie strumienie uroku, topnieją skrzepy, ustają na chwilę owe żądła i męki, a przychodzi słodka chwila rozkoszy najwyższej. Toteż odchodzić od niego nic chce za nic na świecie i kochanka ceni nade wszystko. Zapomina o matce i braciach, i o znajomych najbliższych; nie dba o to, że się majątek zaniedbany rozlatuje, nie zważa na opinię i za nic ma wszelkie normy przyzwoitości, których poszanowaniem niegdyś tak się chlubił: gardzi wszystkim; chce tylko służyć ukochanemu i tak blisko niego spać, jak tylko można. Bo nie tylko nabożeństwo jakieś ma do tego, który piękność posiada, ale w nim lekarza znajduje na najcięższą słabość swoją. Ten stan, chłopczyku piękny, stan ten, o którym mówię, ludzie Erosem nazywają, a jak go zwą bogowie, będziesz się może śmiał, kiedy ci powiem, boś młody. Zachowały się bowiem dwa wiersze, prawdopodobnie ze szkoły homerydów, z których jeden trochę jest wolny zarówno w treści swej jak i w formie. A mówią tak: Ludzie skrzydlatym Erosa zwą, a bogowie Zwą go latawcem, bo wiecznie piórka go świerzbią do lotu. Wolno w to wierzyć, a wolno i nie; ale w każdym razie takie są kochania przyczyny i takie są uczucia kochanków. Ktoś, kto na ziemię spadł z orszaku Zeusa, potrafi znieść i cięższe ataki Skrzydlatego. Inaczej ci, którzy byli sługami Aresa i za nim niegdyś chodzili. Tych kiedy Eros napadnie, a zdaje się im, że ich w czymś krzywdzi kochanek, gotowi mordować zaraz i poświęcić siebie wraz z kochankiem na ołtarzu bóstwa. A podobnie, jeśli kto należał do chóru innego boga, to tego znowu czci i naśladuje jak może, na wzór jego obcuje z tymi, których kocha, i do innych się podobnie odnosi, jak długo nie jest zepsuty, a pierwszy dopiero żywot tutaj spędza. A miłość ziemską wybiera każdy inaczej,

zależnie od charakteru, i jakby kochanek bogiem był dla niego, tak go każdy, niby posąg bóstwa, rzeźbi i przyozdabia, i czci, i na cześć jego święta obchodzi szalone. Więc towarzysze Zeusa szukają zawsze w duszach swych kochanków czegoś, co by Zeusa przypominało. Patrzą więc, czy ktoś ma w swej naturze pierwiastki filozoficzne i władcze, a jeśli takiego znajdą i pokochają, robią wtedy wszystko, żeby kochanek tych cech nabrał w całej pełni. I jeśli się przedtem tą sztuką nie zajmowali, zabierają się do niej teraz, uczą się jej, skąd tylko mogą, i na własną rękę próbują dusze kochanków zgłębiać i rozwijać. A chcąc we własnym wnętrzu odkryć po śladach naturę bóstwa opiekuńczego, dochodzą z czasem do tego; bo z konieczności patrzą ustawicznie w twarz boga i stykają się z nim pamięcią; przeto w nich bóg wstępuje i oni biorą z niego charakter i naśladują jego sprawy, o ile człowiek w ogóle może wziąć w siebie i mieć coś z boga. A przypisują to wpływowi osób ukochanych; za czym je jeszcze więcej kochają. I chociaż sami z Zeusa czerpią, jak bachantki przelewają wszystko na dusze osób wybranych, a teraz im coraz to bliższych, i starają się o to, żeby możliwie najwierniej przypominały ich boga. Ci, którzy za Herą szli, szukają natur królewskich, a jeśli którą znajdą, tak samo z nią postępują. A którzy za Apollonem lub jakim innym bogiem, ci znowu w ślady swego boga wstępując szukają chłopca na swoją modłę, a jeśli im się uda go znaleźć, naśladują bóstwo sami i nakłaniają do tego kochanków; wdrażają ich w sprawy swego bóstwa i starają się ich w miarę sił do istoty bóstwa doprowadzić. Tam nie ma miejsca na zazdrość ani na ordynarne sceny; całe ich postępowanie zmierza tylko do tego, żeby jak największe i jak najbardziej wszechstronne podobieństwo stworzyć między kochankiem a sobą i bogiem, którego czczą. Więc piękne to uśiłowania i święcenia wstępne u tych, którzy prawdziwie

kochają; jeśli je skutek pożądany uwieńczy, wówczas te usiłowania przyjaciół, cierpiących na szal Erosa, szczęściem się stają dla osób ukochanych, o ile się wziąć dadzą. A bierze się ludzi wybranych w taki sposób: Jakiś na początku tej opowieści na trzy części każdą duszę podzielili: dwie niby na kształt koni, a trzecia na kształt woźnicy, zostaliśmy i teraz przy tym porównaniu. Z koni zaś, powiedzieliśmy, jeden dobry jest, a drugi nie. Ale na czym polega dobroć jednego, a złość drugiego, tegośmy nie przechodzili; więc powiedzmy teraz. Otóż ten z nich, który lepsze ma stanowisko, kształty ma proste a proporcjonalne i zgrabne; wysoko nosi kark, nos ma łagodnie zgarbiony, białą maść, czarne oczy; ma ambicję, ale i ma władzę nad sobą, i wstyd w oczach. Lubi zasłużoną chwałę; batoga nie potrzebuje, dobre słowo mu wystarcza. A drugi krzywy, gruby i łada jako związany; twardy ma kark, krótką szyję, nos do góry zadarty, czarną sierść, ogień w krwi nabiegłych oczach; buta i bezczelność to jego żywioł. Nie słyszy całkiem, bo ma kudły w uszach; ledwie że bicza i ościenia posłucha. Więc kiedy woźnica ujrzy jakąś zjawę miłosną i żar mu duszę ogarnia, kiedy mu tęsknota pierś rozpiera, a żądła łechcą na wszystkie strony, jeden koń, który zawsze słucha woźnicy, wtedy także wstydem się kieruje i sam siebie zatrzymuje, żeby nie wskoczyć przednimi nogami na kochanka; za to drugi nie zważa na ukłucia ani razy, których mu woźnica nie szczędzi, i w dzikich podskokach pędzi wprost przed siebie. Męczy się z nim strasznie jego sąsiad w zaprzęgu; rady mu nie może dać i woźnica. On ich rwie wprost na kochanka, żeby tam odświeżyć wspomnienie wdzięków Afrodyty. A ci obaj oburzają się zrazu i ciągną w przeciwną stronę, bo ten ich zmusić chce do bezceństwa straszego. W końcu, kiedy wszystko nic nie pomaga, idą za nim; on ich wlecze za sobą. Już ustąpili: już się godzą czynić, co im każe. Zbliżają się do kochanka i oto staje przed nimi jego postać jasna. Kiedy ją ujrzał woźnica, błyskawicą mu wtedy przed oczyma staje wspomnienie piękności; myśl jego ulatuje do jej istoty i ogląda ją znowu: ona tam stoi obok władzy nad sobą, tam na świętych stopniach. Myśl jego przejrzała i lęk ją oblatuje święty; więc pada na wznak i tym samym szarpie w tył cugle tak mocno, że oba konie stają dęba na zadach. Jeden z nich rad, bo nie ciągnął w stronę przeciwną, a tamten butny, bestia, nierad bardzo. Cofają się jednak oba; jeden ze wstydu i strachu kroplami potu skrapia całą duszę, a drugi, kiedy mu już uzda warg nie rani, a upadek wstecz nie grozi, ledwie że tchu nabrał, ciskać się zaczyna w pasji i obelgi miotać; od tchórzów wymyśla woźnicy i towarzyszowi w zaprzęgu, że to ze strachu i nie po męsku popsuli szyki i złamali umowę. I znowu ich chce gwałtem, wbrew ich chęci, naprzód wlec i ledwie im ustąpić raczy, kiedy się proszą, żeby im to na następny raz odłożył. Kiedy termin umówiony przyjdzie, oni udają, że zapomnieli, ale on go przypomina i znowu gwałt im zadaje, rży, wlecze za sobą i wymusić chce na nich zbliżenie do chłopaka w takiej samej myśli jak poprzednim razem. Kiedy już są blisko, spuszcza łeb, stawia ogon do góry, bierze wędzidło na kiel i rwie naprzód bez pamięci i wstydu. Woźnicy tym razem jeszcze gorzej, toteż się jeszcze gwałtowniej rzuca wstecz, jak u mety wyścigów, i tym gwałtowniej butnej bestii munsztuk z zębów wyrывa, język mu przebrzydły i paszczkę do krwi zdziera, a zad i stopy w ziemię wpiera; niech się bestia męczy. Po kilku takich lekcjach pokornieje butna szelma i zaczyna słuchać przezornego woźnicy, a kiedy piękną postać zobaczy, wtenczas ginie ze strachu. Odtąd zaczyna dusza tego, który kocha, chodzić ze wstydem i cziągą, i z obawą śladami ukochanej osoby. Kiedy zaś człowiek, który nie udaje miłości, ale doznaje tego uczucia naprawdę, boskim kultem otacza wybrańca, ten żywi wprawdzie dla niego pewną naturalną sympatię, jednakże trzyma go zrazu z daleka, może i dlatego, że między kolegami kiedyś plotki krążyły o tym, który kocha, i mówiono, że się nie wypada wdawać w poufalsze stosunki na tle erotycznym.

Z czasem jednak wiek i konieczność robi swoje i dochodzi do zbliżenia między nimi. Bo nigdzie nie jest napisane, żeby się tylko źli ludzie musieli do siebie zbliżać, a ludzie dzielni nie mogli. Kiedy się zaś stosunki i rozmowy częstsze nawiążą, wybrany spostrzega ku swemu wielkiemu zdumieniu coraz nowe objawy życzliwości ze strony zakochanego i zaczyna dochodzić do przekonania, że wszyscy inni przyjaciele i bliscy nic mu właściwie nie dają w porównaniu z tym człowiekiem, w którego bóg wstąpił. A kiedy ten dłuższy czas tak postępuje i zbliża się do niego, i styka z nim w salach gimnazycznych i gdzie indziej także, wtedy bić zaczyna źródła owych promieni, które Zeus, w Ganimescie zakochany, urokiem nazwał, i strumień ich obfity płynie ku temu, który kocha, wnika weń i wypełnia go po brzegi, a co zostaje, przelewa się, i tak jak wiatr albo echo jakieś od gładkich a twardych ciał odbite znowu tam wraca, skąd wyszło, tak i strumień piękności znowu do swego źródła przez oczy - zwyczajna to jego droga do duszy - wraca, a wróciwszy skrapia pory, którymi się pióra cisnąć zwykły; pióra rosną i oto się dusza kochanka miłością napełnia. I on już kocha, ale jeszcze sam nie wie kogo. I ani wie, co się z nim dzieje, aniby to powiedzieć potrafił. Ale jakby się od kogoś choroby oczu nabawił, nie wie, skąd mu to przyszło, i nie wie, że w przyjacielu swym, jakby w zwierciadle, siebie samego ogląda. Kiedy on jest przy nim, lżej mu, podobnie jak i tamtemu. A kiedy go nie ma, tęskni, podobnie jak i tamten za nim, bo jest w nim Eros Wzajemny. Ale on go nie nazywa miłością, tylko przyjaźnią, i myśli, że tak jest naprawdę. A pragnie podobnie jak tamten, chociaż nie tak silnie; pragnie go widzieć, czuć, ścisnąć, całować i leżeć razem blisko. I oczywiście, niezadługo zaczyna to wszystko robić. Kiedy tak leżą koło siebie, wtedy nieposkromiony koń zakochanego ma niejedno do powiedzenia woźnicy. Za tyle trudów rad by sobie użył choć trochę. A koń wybrańca nic nie mówi, tylko żądza wre i nie wie sam, co ma robić, ścisną przyjaciela i całuje za to, że taki dla niego dobry strasznie; leżą blisko siebie, a jemu tak jest, że nie umiałby niczego ze swej strony odmówić tamtemu, gdyby on cokolwiek chciał od niego. Ale towarzysz w zaprzęgu i woźnica ciągną w stronę przeciwną. Mają wstyd i rozum. Jeśli w nich

tedy zwyciężą lepsze strony duszy, wiodące do porządnego życia i do filozofii, pędzą wtedy obaj żywot w szczęściu i w jedności, panują nad sobą - przyzwoici. Umieeli w swojej duszy ujarzmić to, w czym się jej zło kryło, a wyzwolili to, w czym dzielność. Kiedy pomrą, skrzydła ich poniosą wysoko; palmę zwycięstwa wzięli w jednym z trzech naprawdę olimpijskich zawodów, a większego dobra nad to ani rozsądek ludzki, ani szal boski dać człowiekowi nie zdoła. Jeżeliby zaś podlejszy jaki żywot wiedli, nie mieli nic wspólnego z filozofią, a dbali o to, co pochwała wielu, łatwo się im trafić może, że gdzieś przy pijatyce czy innej wesołej sposobności owe nieposkromione rumaki dusze ich zastaną bez straży, zaciągną ich na jedno miejsce, i ci wezmą wtedy i zrobią to, co wielu chwali jako szczęście. Później się to będzie powtarzało, choć nieczęsto, bo się ich cała dusza na to nie zgadza. W przyjaźni żyją z sobą i tacy dwaj, chociaż już nie tak jak tamci, zarówno wtedy, kiedy ich miłość łączy, jak i potem, kiedy ich miłość przeminie. Uważają obaj, że sobie winni wzajem szacunek i zaufanie największe, którego się nigdy łamać nie godzi, a rozpoczynać wojnę. W chwili śmierci skrzydeł nie dostaną, ale wyjdą z ciał na poły w piórach; i tak dość wielka dla nich nagroda za szal miłości. Bo w ciemność i czeluści podziemne nie godziłoby się iść tym, którzy już stąpali po ścieżkach podniebnych. Więc gdzieś po jasnych drogach chodzą w szczęściu, a gdy godzina przyjdzie, równocześnie skrzydeł dostają - za to, że kiedyś kochali. Takie dary, takie skarby boskie przyniesie ci, chłopcze, przyjaźń tego, który kocha. A pieśń i poufałość z tym, co nie kocha, rozsądkiem śmiertelnym podłana, skąpą ręką znikome ziemskie dobra ci wydzieli, a czymś tak podłym i niskim, choć to u tłumu zaleta, duszę ci zaprawi, że się dziewięć tysięcy lat będzie musiała około ziemi kręcić i pod ziemią jeszcze do rozumu nie przyjdzie. Oto ci, przyjacielu nasz, Erosie, wedle sił naszych najpiękniejszą i najlepszą oddajemy powinna pieśń przebłagalną. Jeśli w ogóle, a przede wszystkim w słowach musiała być trochę poetycka, to tylko ze względu na Fajdrosa. Więc pierwszą mowę mi odpuść, a dając nagrodę za drugą, nie racz mi w dobroci swej i w łasce odbierać sztuki kochania ani mi jej w gniewie swym nie popsuj. Daj, żeby mnie piękni ludzie jeszcze więcej niż dzisiaj cenili. A w pierwszej mowie, jeżeliśmy ci coś przykrego powiedzieli, Fajdros i ja, to pomny, że Lizjasz był tej mowy ojcem i winowajcą, spraw, żeby on takim mówom dał nareszcie pokój, a do filozofii go za przykładem brata jego Polemarcha nawróć, aby się i ten tutaj człowiek w nim zakochany przestał chwiać na obie strony, lecz Erosowi i filozofii życie swe poświęcił!

FAJDROS. Modłę się i ja z tobą, Sokratesie; niech się tak stanie, jeżeli tak lepiej dla nas. Amowę twoją już od chwili podziwiam. O ileż ładniej ją zrobiłeś niż pierwszą! Doprawdy, boję się, czy mi się Lizjasz teraz nędzarzem nie wyda, nawet gdyby się spróbował mierzyć i jeszcze inną napisał. A wiesz ty, cudowny człowieku, że jego o to pisanie niedawno już nabierał jeden z polityków w pamflecie. W całym paszkwili ciągle go pisarzyną przeżywa. Więc może się w nim ambicja ruszy i przesianie pisać.

SOKRATES. Eh, to zabawny argument, a przyjaciela swego całkiem nie znasz, jeśli myślisz, że on sobie wiele robi z besztania. A czy myślisz, że i paszkwiliant serio brał to, co mówił?

FAJDROS. Tak to przynajmniej wyglądało, Sokratesie. A zresztą sam wiesz, że najwyższe i najważniejsze figury w państwie wstydzą się pisywać studia i nie lubią pism po sobie zostawiać.

Zupełnie ich nie nęci taka sława u potomności; nie chcą kiedyś uchodzić za sofistów.

SOKRATES. Słodki wykręt, Fajdrosie! Nie wiesz, że to poszło od Wielkiego Wykrętu na Nilu? A oprócz tego, że to wykręt, to i tego nie wiesz, że najbardziej ambitni politycy najwięcej lubią pisać swoje myśli i zostawiać pismo po sobie. A jak który pisze mowę, to tak kocha swoich chwalców, że na samym początku wypisuje tych, co go pochwalili.

FAJDROS. Jak to myślisz? Nie rozumiem.

SOKRATES. Nie rozumiesz? Przecież na początku każdej mowy politycznej masz zawsze imię tych, którzy danego polityka pochwalili.

FAJDROS. Jak to?

SOKRATES. Ano: "Na podstawie uchwały Wielkiej Rady albo Zgromadzenia Ludowego, albo jednej i drugiej instytucji", tak się przecież zaczynają mowy polityczne. A ten, co uzasadniał wniosek dany, samego siebie wymienia bardzo uroczyście i pochlebnie o sobie wspomina, ten pisarz niby; a potem mówi długo i szeroko i popisuje się mądrością przed tymi, którzy go chwalą. No cóż, może inaczej się pisze mowy polityczne?

FAJDROS. No nie.

SOKRATES. Nieprawdaż? I jeżeli uchwałą, to autor wychodzi wesoły z teatru; a jak skreślą i niema co

pisać mowy, bo ktoś nie dorósł do tego, to i on ma smutek, i martwią się jego towarzysze.

FAJDROS. I bardzo.

SOKRATES. Więc chyba nie gardzą tą robotą, ale ją podziwiają.

FAJDROS. No pewnie.

SOKRATES. A cóż dopiero, jak się trafi zdolny mówca albo król, a dojdzie do potęgi takiego Likurga albo Solona, albo Dariusza i nieśmiertelnym zostanie w państwie pisarzem - czyż nie uważa się sam za równego bogom jeszcze za życia i czy potomni nie myślą o nim tak samo, kiedy patrzą na te pisma, jakie po sobie zostawił.

FAJDROS. I bardzo.

SOKRATES. Więc weź jednego z takich ludzi, choćby nawet był troszkę nierad Lizjaszowi; czy myślisz, że on by mu także brał za złe to, że pisuje?

FAJDROS. Oczywiście, że nie, wedle tego, co mówisz; toż musiałyby i sam sobie brać za złe własne upodobania.

SOKRATES. Więc to rzecz oczywista, że samo pisanie mów nie hańbi.

FAJDROS. A co?

SOKRATES. A to, uważam, jeżeli ktoś nie pięknie mówi i pisze, ale haniebnie i źle.

FAJDROS. No oczywiście.

SOKRATES. Więc jakże się to pisze pięknie i nie pięknie? Chcesz, Fajdro, i z tego punktu rozpatrzeć Lizjasza i innych dawniejszych i przyszłych pisarzy politycznych i obyczajowych, poetów i prozaików?

FAJDROS. Ty się pytasz, czy chcę? A na cóż by człowiek żył, jak nie dla takich przyjemności? Toż przecież nie dla takich, przed którymi się naprzód ma jakąś przykrość albo się w ogóle nic z nich nie ma. A takie są bodajże wszystkie przyjemności ciała. Toteż się słusznie przyjemnościami niewolników nazywają.

SOKRATES. No tak - czas mamy, zdaje się. A przy tym uważam, jak tam nad naszymi głowami piewiki, jak to zwykle w upał, śpiewają i coś rozmawiają z sobą, i na nas patrzą z góry. Gdyby tak widziały, że i my dwaj, jak to niejeden w południe, nie rozmawiamy, a tylko się jeden z drugim kiwa i jako ciężko myślący usypia oczarowany ich głosami, słusznie by się z nas śmiały; myślałyby, że to może jakichś dwóch niewolników przyszło do nich, do gospody, spać jak owieczki w południe koło źródła. A jak zobaczą, że rozmawiamy i umiemy koło nich jak koło Syren przepłynąć nie oczarowani, to pewnie się ucieszą i przyniosą nam dar, który im bogowie pozwolili ludziom dawać.

FAJDROS. A jakież one mają dar? Zdaje się, że tego nie słyszałem.

SOKRATES. O, to nieładnie, żeby przyjaciel Muz czegoś podobnego nie słyszał. Otóż powiadają, że one były niegdyś ludźmi, kiedy jeszcze Muz nie było. A kiedy przyszedł Muzy i zjawił się śpiew po raz pierwszy, taki zachwyty szalony ogarnął niektórych ludzi ówczesnych, że dla śpiewu zaniedbywali jadła i napoju. Śpiewali tylko i marli, nie zdając sobie z tego sprawy. Od nich pochodzi ród piewików, które od Muz ten dar otrzymały, że się umieją obyć bez jedzenia. Już od urodzenia nie potrzebują jadła ani napoju, tylko śpiewają wciąż, aż do śmierci, a potem idą do Muz i opowiadają każdej, kto je czcił tutaj na ziemi, Terpsychorze mówią o tych, którzy jej w chórach cześć oddawali, i pozyskują dla nich łaskę Muzy. Erato się od nich dowiaduje o naszych sprawach miłosnych, a inne Muzy podobnie, jako że rozmaite są ich kultury. A najstarszej, Kalliopie, i drugiej z rzędu, Uranii, donoszą piewiki o tych, którzy w filozofii żyją i muzykę tych dwóch bogiń czczą nade wszystko. Te Muzy, opiekunki nieba i mów boskich i ludzkich, głos mają najpiękniejszy. Więc z wielu powodów powinno się o czymś rozmawiać, a nie spać, kiedy jest południe.

FAJDROS. No, to rozmawiajmy.

SOKRATES. Więc może to, cośmy właśnie poruszyli; zastanowić się nad tym, jak się to właściwie mówi dobrą mowę i pisze, a jak złą. Może to rozważymy.

FAJDROS. Oczywiście.

SOKRATES. Więc naprzód, czy nie potrzeba, jeśli mowa ma być dobra i piękna, żeby umyślać autora znał prawdę o tym, o czym autor zamierza mówić.

FAJDROS. A ja, Sokratesie, słyszałem, że kto chce być kiedyś mówcą, temu nie potrzeba wiedzieć, co jest istotnie sprawiedliwe, ale to tylko, co tłum za sprawiedliwe uważa; tłum przecież będzie sądził. I nie istotne dobro czy piękno, ale co uchodzi; przecież tym się ludzi przekonywa i nakłania, a nie prawdą.

SOKRATES. Tych stów lekceważyć nie trzeba, Fajdrosie, które mędrcy mówią, ale się zawsze przyjrzeć potrzeba, co też to oni mówią. Toteż i tych słów teraz nie odrzucimy z góry.

FAJDROS. Słusznie mówisz.

SOKRATES. Więc tak się im przyjrzymy.

FAJDROS. Jak?

SOKRATES. Ano - gdybym cię tak nakłaniał, żebyś sobie konia kupił, bo masz iść na wojnę, a obaj byśmy nie wiedzieli, co to koń; ja bym tylko tyle wiedział o tobie, że Fajdros uważa za konia to zwierzę domowe, które ma największe uszy.

FAJDROS. To by śmieszne było, Sokratesie.

SOKRATES. Ale gdzie tam. I gdybym cię tak z zapałem przekonywał i namawiał, ułożywszy mowę pochwalną na osła, a nazywałbym go koniem, i wywodził, że to najcenniejszy dobytek i koło domu, i na wojnę, że się znakomicie z niego walczy i on zbroję ci potrafi przynieść i jego inne rozmaite pożytki wychwalał.

FAJDROS. A to by już było najśmieszniejsze.

SOKRATES. A czyż nie lepiej, gdy przyjaciel jest śmieszny, niż gdy jest straszny i wróg?

FAJDROS. No pewnie.

SOKRATES. A jak taki retor, który nie wie, co jest dobre i złe, a ma przed sobą zgromadzenie, które także tego nie wie, i on je przekonywa i nakłania - nie w takiej marnej sprawie jak ta, żeby pochwałę osła wygłaszał niby konia - ale jeśli on zło przedstawi jako dobro, a dbając o opinię tłumu, nakłoni ich do czynu złego, zamiast do dobrego, to jak myślisz, jaki później plon zbierze sztuka retoryczna z takiego posiewu?

FAJDROS. Oczywiście nieszczególny.

SOKRATES. Ale wiesz, przyjacielu, czy my znowu nie zanadto brutalnie atakujemy sztukę mowy? Trochę, to nie szkodzi. Bo ona gotowa powiedzieć: "Cóż wy za głupstwa wygadujecie? Przecież ja nikogo, kto nie zna prawdy, nie zmuszam, żeby się uczył mówić, ale gdyby się mnie kto pytał o radę, to niech już tamto ma przedtem, a potem dopiero niech mnie bierze. A to tylko mówię wielkim głosem, że bez mojej pomocy człowiek, który by i znał byty, bezwarunkowo nie potrafi przekonywać ludzi i nakłaniać żadną inną sztuką".

FAJDROS. No, czyż nie będzie miała racji? Przecież to słuszne.

SOKRATES. Zgoda, jeżeli tylko mowy, które za nią idą, zechcą jej dać świadectwo, że ona jest sztuką. Bo tak jakbym słyszał, jak nadchodzi tutaj mowy niektóre i świadczą, że ona kłamie i że nie jest sztuką, ale nieartystycznym rzemiosłem, kwestią rutyny. Aby mówić o czymś, a nie tykać prawdy, powiada jeden Spartanin, na to nie ma żadnej prawdziwej sztuki i nigdy takiej nie będzie.

FAJDROS. Dawaj no te mowy, Sokratesie; każ im tu przyjść i rozpytuj, co i jak mówią.

SOKRATES. A to pójdźcie tu, dzieci, przekonajcie Fajdrosa, który ma także ładne dzieci, że jeśli nie będzie porządnym filozofem, to i mówić nigdy porządnie nie potrafi o niczym. A niech odpowiada Fajdros.

FAJDROS. Pytajcie.

SOKRATES. Nieprawdaż, że sztuka wymowy w ogóle jest sztuką prowadzenia dusz ludzkich za pomocą mów, i to nie tylko w sądach i jakie tam inne zebrania czy zgromadzenia publiczne, ale i w prywatnych kółkach; jedna i ta sama, czy to o wielkie rzeczy chodzi, czy o małe. A co jest słuszne, to jest równie cenne w sprawach wielkiej wagi jak i w marnych. Albo jak ty to słyszałeś?

FAJDROS. Ależ nie tak, na Zeusa, zgoła nie tak, ale najwięcej podobno w sądach mówi się i pisze wedle prawideł sztuki; mówi się i na zgromadzeniach ludowych. A tak więcej - tam nie słyszał.

SOKRATES. Aha, toś ty słyszał tylko o sztukach retorycznych Nestora i Odyseusza, które w wolnych chwilach pod Ilionem spisywali, a o sztukach Palamedesa nie słyszałeś?

FAJDROS. Aj, dalibóg, że Nestora; bo ty z pewnością z Gorgiasza robisz Nestora, a ten Odyseusz to z pewnością Trazymach i Teodor.

SOKRATES. Może być. Ale im dajmy pokój. A ty powiedz, w sądach oskarżyciele i oskarżeni co robią? Bronią sprzecznych twierdzeń, czy co powiemy?

FAJDROS. Właśnie to.

SOKRATES. I tam chodzi o to, co jest sprawiedliwe, a co niesprawiedliwe?

FAJDROS. Tak jest.

SOKRATES. I prawda, że mówca-artysta potrafi to tak robić, żeby się jedna i ta sama rzecz tym samym ludziom raz wydawała sprawiedliwą, a jak zechce inaczej, to znowu niesprawiedliwą?

FAJDROS. A czemu nie?

SOKRATES. A na Zgromadzeniu Ludowym to znowu przedstawicielom państwa jedno i to samo raz potrafi przedstawiać jako dobre, a drugi raz wprost przeciwnie?

FAJDROS. Tak jest.

SOKRATES. No, a czyż my nie znamy takiego Palamedesa z Elei, który tak artystycznie mówi, że słuchający także głowy tracą i zdaje im się, że jedno i to samo jest równe i nierówne, że jest jedno i że go jest wiele, albo że stoi, to znowu, że się rusza.

FAJDROS. Doskonale go znamy.

SOKRATES. Więc nic tylko w sądach ma swoje pole sztuka sprzecznych twierdzeń i na Zgromadzeniach Ludowych, ale chyba wszystko, o czym się mówi, obejmuje jedna jakaś sztuka, jeśli taka istnieje, i ta potrafi każdą rzecz do każdej innej przyrównać w granicach możliwości, i jeśli ktoś inny takie równania i analogie skrycie przeprowadza, wydobyć je potrafi na światło.

FAJDROS. Nie - jak ty to właściwie mówisz?

SOKRATES. Poczekaj, może ci tak będzie jaśniej: gdzie jest łatwiej o błąd, o pomyłkę: tam, gdzie się rzeczy bardzo różnią od siebie, czy tam, gdzie mało co?

FAJDROS. Tam, gdzie mało co.

SOKRATES. A jak ci łatwiej przejść niepostrzeżenie do sprzecznego stanowiska: szeregiem drobnych

przejsć i odcieni, czy wielkich?

FAJDROS. No, jakżeżby nie?

SOKRATES. Więc kto chce w błąd wprowadzać drugich, a nie ma sam paść jego ofiarą, musi doskonale rozpoznawać podobieństwo bytów i niepodobieństwo.

FAJDROS. No, koniecznie musi.

SOKRATES. A może on potrafi, chociaż prawdy sam o każdej rzeczy nie zna, rozpoznać w drugich drobne i wielkie analogie między nie znanymi mu naprawdę bytami?

FAJDROS. To niemożliwe.

SOKRATES. A nieprawdaż, że jeśli ktoś wydaje sądy niezgodne z rzeczywistością i jest w błędzie, to widocznie stan ten wywołało u niego pewne podobieństwo, winny temu pewne analogie między rzeczami?

FAJDROS. Tak bywa.

SOKRATES. Więc czyż i artysta nawet potrafi przejść drogą subtelnych odcieni i drugiego odwieść poprzez analogię od tego, co w każdym wypadku istotnie jest, do czegoś z tym sprzecznego, i czy sam przy tym nie popadnie w błąd, jeśli nie wie, czym jest naprawdę każdy byt?

FAJDROS. To niepodobna.

SOKRATES. A więc, przyjacielu: sztuka wymowy u takiego, co prawdy nie zna, a żyje tylko opinia, to nie będzie żadna sztuka, tylko śmiech.

FAJDROS. Coś niby tak.

SOKRATES. Więc jeżeli chcesz, to popatrzmy do mowy Lizjasza, masz ją przy sobie, i weźmy te, któreśmy sami mówili. Zobaczmy, jakie tam będą wady artystyczne i zalety.

FAJDROS. Ach, to doskonale; bo tak jakoś sucho, goło teraz mówimy, bez żadnych przykładów.

SOKRATES. A wiesz, to ciekawy przypadek. Tutaj w tych dwóch mowach gotów się znaleźć przykład na to, jak to ktoś, co zna prawdę, robi figle i nabiera słuchaczy. Ja sądzę, Fajdro, że winny temu tylko bóstwa tego miejsca, a może być, że to ci zausznicy Muz, co nam tu nad głową śpiewają, tak nas w prezencie natchnęli. Bo gdzież ja; ja nie mam nic wspólnego z żadną sztuką wymowy!

FAJDROS. No, no, niech ci będzie. Żebyś tylko jasno mówił.

SOKRATES. Proszę cię, przeczytaj no początek mowy Lizjasza!

FAJDROS. "O co mi chodzi, wiesz, i że za właściwe uważam taką rzecz pomiędzy nami, toś słyszał. Sądzę zaś, że nic powinno mnie omijać to, czego pragnę, dlatego że właśnie zakochany w tobie nie jestem. Toż takiemu później żal każdej..."

SOKRATES. Czeka! Przecież gdzie on błądzi i jaka tu wada artystyczna, potrzeba powiedzieć. Nie?

FAJDROS. Tak jest.

SOKRATES. Czyż to nie jest oczywiste, że w kwestiach tego rodzaju na jedną wszyszczygodnie patrzymy, a na drugą rozbieżnie?

FAJDROS. Może być, że ja rozumiem, co ty mówisz; tylko powiedz jeszcze trochę jaśniej.

SOKRATES. Bo niech ktoś wymieni na przykład żelazo albo srebro, to czyż nie mamy wtedy wszyscy jednego i tego samego na myśli?

FAJDROS. Zupełnie.

SOKRATES. A cóż, jeśli wymieni sprawiedliwość lub dobro? Nieprawdaż, że wtedy jeden idzie tam, drugi sam i nie zgadzamy się z sobą nawzajem ani nawet sami z sobą.

FAJDROS. Zupełnie tak.

SOKRATES. W niektórych tematach się zgadzamy, a w innych nie?

FAJDROS. Tak.

SOKRATES. A w którychże łatwiej nas w pole wywieść i w których jest większe pole dla artysty mowcy?

FAJDROS. Oczywiście w tych niepewnych, które się mienia w oczach.

SOKRATES. Więc kto chce opanować sztukę wymowy, ten przede wszystkim to powinien systematycznie rozróżniać i chwycić jakieś charakterystyczne cechy jednej i drugiej formy: zarówno tej, która się ludziom w oczach mieni, jak i tej, co nie.

FAJDROS. Piękną by formę miał przed oczyma duszy taki, który by to zawsze chwycił.

SOKRATES. A potem myślę, że jak ma z czymkolwiek do czynienia, to nie powinien nigdy przeoczyć, tylko bystro spostrzegać, do jakiego też rodzaju należy to, o czym ma mówić.

FAJDROS. No, no.

SOKRATES. A cóż Eros? On, powiemy, należy do tych niepewnych, co to się mienia w oczach, czy nie?

FAJDROS. Ależ do niepewnych, oczywiście. Cóż ty myślisz? Czy on by ci był inaczej pozwoleń, coś o nim mówił niedawno, że jest nieszczęściem dla wybranego i dla zakochanego, a zaraz potem, że jest największym dobrem?

SOKRATES. Toś doskonale powiedział, ale jeszcze i to powiedz - bo ja, wiesz, dobrze nie pamiętam przez to, że we mnie bóg był wstąpił - czy ja Erosa określiłem na początku mowy?

FAJDROS. Ależ na Zeusa, doskonale, i to jak!

SOKRATES. To dopiero! To powiadasz, że o tyle większymi artystkami byłyby Nimfy, córki Acheloosa, i Pan, syn Hermesa, niż Lizjasz, syn Kefalosa. A może nie - może to i sam Lizjasz to zrobił: zmusił nas na początku mowy do tego, żeśmy Erosa pojęli jako jakiś jeden byt, tak jak on chciał, i stąd już poszedł cały porządek dalszych mów. Pozwól, może znowu przeczytamy początek jego mowy?

FAJDROS. Jak myślisz: ale czego ty szukasz, tego tam nie ma.

SOKRATES. Ale czytaj no - żebym ja jego samego słyszał.

FAJDROS. "O co mi chodzi, wiesz, i że za właściwą uważam taką rzecz pomiędzy nami, toś słyszał. Sądzę zaś, że nic powinno mnie omijać to, czego pragnę, dlatego właśnie, że zakochany w tobie nie jestem. Toż takiemu później żal każdej wyświadczonej przysługi, skoro tylko żądam nasyci..."

SOKRATES. Oj, zdaje się, że długo byśmy szukali, nimbyśmy znaleźli to, o co nam chodzi. Toż ten nawet nie z początku, tylko jakoś od końca, w drugą stronę, chce przez tę mowę płynąć i zaczyna od tego, co by zakochany już po wszystkim, na samym końcu, mógł mówić do kochanka. A może głupstwo palnął, Fajdroisie, ukochana głowo?

FAJDROS. No, tak jest, Sokratesie; toż właśnie o koniec chodzi w jego mowie.

SOKRATES. Ee, a poza tym? Ty nie zauważasz tego niechlujstwa myślowego w tej mowie? Cóż myślisz, że to, co tam jest na drugim miejscu, z jakiejś konieczności musiało stać właśnie na drugim, czy równie dobrze jakiegokolwiek inne zdanie? Ja się na tym nie rozumiem, więc mi się zdawało, że autor z całą

bezczelnością pisze sobie to, co mu ślina na język przyniesie. A ty uważasz, że mu pewna konieczność literacka kazała kłaść jedno po drugim w tym właśnie porządku?

FAJDROS. Zanadtoś łaskaw, jeżeli myślisz, że ja potrafię jego pracę tak jasno rozebrać.

SOKRATES. Ale ci to będzie jasne, że każda mowa, tak jak zwierzę, musi się jakoś trzymać kupy, musi stanowić jakieś ciało indywidualne; nie może być bez głowy i bez nóg, ale powinna mieć tułów i kończyny dobrane do siebie i z góry określone całością.

FAJDROS. Jakżeby nie?

SOKRATES. Więc patrzaj na mowę swego znajomego, czy jest taka, czy nie taka. A zobaczysz, że ona całkiem łąka jak ten epigram, który, jak powiadają, ma być na grobie Midasa we Frygii.

FAJDROS. Jaki to epigram i co w nim jest takiego?

SOKRATES. Tam jest to: Spiżową jestem dziewicą; leżę na grobie Midasa. Jak długo płyną strumienie i drzew się zielenią korony, Stąd się nie ruszę; tu leżąc, na grobie Izami skropionym, Mówię każdemu, kto idzie, że Midas tu pochowany. Że tu wszystko jedno, co z tego naprzód przeczytasz, a co na końcu, to pewnie zrozumiesz, co?

FAJDROS. Ty kpisz z naszej mowy, Sokratesie!

SOKRATES. No to dajmy mu spokój, abyś się nie gniewał - chociaż w nim jest mnóstwo przykładów; tylko patrzeć, a można by się wiele nauczyć, jak nie należy pisać. A weźmy te inne mowy.

Bo zdaje mi się, że tam w nich byty rzeczy ciekawe i nadawały się do dyskusji o retoryce.

FAJDROS. Które, myślisz?

SOKRATES. Byty przecież sprzeczne do pewnego stopnia. Jedna mówiła, że należy folgować temu, który kocha, a druga, że temu, co nie.

FAJDROS. A tak; wybornie, po junacku!

SOKRATES. Przesłyszało mi się, żeś prawdę powiedział: po wariacku. A właśnie tego szukałem. Bośmy powiedzieli, że Eros to pewnego rodzaju szaleństwo. Nieprawdaż?

FAJDROS. Tak.

SOKRATES. A szaleństwo ma formy dwie: jedna pochodzi z choroby - ludzkiej, a druga z boskiego wyrzeczenia się zwyczajów i obyczajów ludzkich.

FAJDROS. Tak, tak.

SOKRATES. A boski szal, wedle czterech bóstw, na czteryśmy części podzielili i proroczeństwa przypisali Apollinowi, Dionizosowi mistyczne, Muzom zaś poetyckie, a o czwartym szale od Afrodyty i Erosa, o szale miłości powiedzieliśmy, że jest najlepszy, a potem zaczęliśmy szal miłosny jakimiś dzikimi obrazami malować; możemy tam i prawdy jakiej dotknęli po drodze, ale zaraz się przeszło do czego innego, wmieszało się tu i ówdzie jakąś myśl nie od rzeczy i w końcuśmy hymn niejako wznieśli przyzwoicie i pobożnie na cześć mojego i twojego, Fajdrosie, pana, Erosa, opiekuna pięknych chłopców.

FAJDROS. Bardzo mi to miło słyszeć.

SOKRATES. Więc weźmy stąd ten ustęp, jak to mowa zaczęła przechodzić od nagany do pochwały.

FAJDROS. Jak to mówisz?

SOKRATES. Wiesz, mnie się zdaje, że tamto reszta to byty żarty; ale to, co się tak przypadkiem w rozmowie zrobiło: te dwie formy - gdyby tak można artystycznie ująć to, co w nich siedzi, to by była

miła rzecz.

FAJDROS. W których to?

SOKRATES. A tak: spojrzeć z góry i sprowadzić jednym rzutem oka szczegóły tu i tam rozsypano jednej istoty rzeczy; potem by człowiek każdy szczegół określił i dopiero byłoby jasne, o czym za każdym razem mówi; tak jak teraz się mówiło o Erosie. Naprzód określenie: czym jest. Może dobrem, może złem, to inna rzecz. Ale dopiero potem mowa mogła być jasna i mogło się w niej jedno z drugim zgadzać.

FAJDROS. A druga forma to która, powiadasz, Sokratesie?

SOKRATES. A znowu tak móc ciąć, dzielić na formy, na członki, jak urosły, i nie próbować łamać żadnej części, jak to lichy kucharz robi. Ale tak jak te nasze mowy przed chwilą; w nich się przecież ujęło nierozumną część duszy w jakąś jedną wspólną formę i tak jak z jednego ciała wyrastają dwie strony równoważne: jedna się nazywa prawą, a druga lewą, tak i te mowy obydwie pojęty nierozum nasz jako tkwiącą w nas jedną formę, a potem pierwsza z nich odcięła część lewą i znowu ją rozdzieliła na dwie, i znalazła w końcu między nimi taką, powiedzmy, całkiem lewą stronę miłości i tę też ganiła zupełnie słusznie, a druga nas poprowadziła na prawą stronę szaleństwa, równoważną tamtej, i wyszukała miłość w pewnym sensie boską; postawiła nam ją przed oczy i pochwaliła, jako że jej zawdzięczamy największe dobro.

FAJDROS. Bardzo słusznie mówisz.

SOKRATES. Ja to i sam ogromnie lubię, Fajdrosie. Ja przepadam za podziałami i uogólnieniami; inaczej nie umiałbym mówić ani myśleć. A jak mi się kiedy zdaje, że ktoś inny umie widzieć całość i jej części organicznie związane, to za nim chodzę krok w krok, "jakbym ślad boga napotkał". Ale czy tych, którzy to umieją, słusznie czy niesłusznie nazywam, to bóg raczy wiedzieć. Dotąd ich nazywałem dialektykami. A teraz tych, co się od ciebie i od c Lizjasza uczą, powiedz, jak tych trzeba nazywać? Czy to, to jest sztuka wymowy: to, czym się Trazymach posługuje i inni? Tak mądrze mówią i drugih tak uczą, że ci im z dobrej woli grube pieniądze przynoszą, jak królom jakim?

FAJDROS. A, oni są zupełnie jak królowie, ale całkiem się nie rozumieją na tym, o co ty się pytasz. A tamten rodzaj, zdaje mi się, że całkiem dobrze nazwałeś: dialektyką. Ale retoryka jakoś ciągle jeszcze przed nami ucieka.

SOKRATES. Jak powiadasz? Ładne to musi być, to coś, co by oprócz tamtych rzeczy zostało, a miałoby być mimo sztuką! W każdym razie nie traktujmy tego lekko. Ale powiedz, co właściwie może być jeszcze poza tym w retoryce?

FAJDROS. Bardzo wiele, Sokratesie. To wszystko, co jest w podręcznikach retoryki.

SOKRATES. Dobrze, żeś przypominał. To pewnie będzie to, że wstęp mówi się na początku. To mówisz, co? Takie subtelności techniczne!

FAJDROS. Tak.

SOKRATES. A potem jakaś ekspozycja, potem dowody, po trzecie świadectwa, a po czwarte prawdopodobieństwa. I podobno jakieś potwierdzenie i poboczne potwierdzenie ma mówić ten nieoceniony majster mów z Bizancjum.

FAJDROS. Ty myślisz o Teodorze? To zasłużony człowiek.

SOKRATES. Jeszcze jak! I jak robić replikę główną i poboczną w oskarżeniu i w obronie. Aślicznego Euenosa z Paros nie wyprowadzimyż na plac, tego, co to pierwszy wynalazł "doniesienia wstępne" i "pochwały uboczne"? Niektórzy powiadają, że on nawet i "besztania uboczne" miał wierszem mawiać, taką miał pamięć; to mądry człowiek! A Tizjaszowi i Gorgiaszowi dajmy pokój. Ci niech śpią, ci, co to uważali, że prawdopodobieństwo więcej warte niż prawda, a siłą wymowy tego dowodzili, że się to, co małe, wydawało wielkie, a co wielkie, jak małe, a co najnowsze, wygląda to jak stare, a co sprzeczne, jak nowe; i ową zwięzłość mów wynaleźli i to rozwodzenie się bez końca nad wszystkim. Jak to raz Prodikosowi opowiadałem, to się śmiał i mówił, że on tylko sam jeden wynalazł to, czego potrzebuje sztuka wymowy: a potrzebuje, powiada, ani długich mów, ani krótkich, tylko w samą miarę.

FAJDROS. Bardzo mądre, Prodikosie.

SOKRATES. A Hippiasza nie wymienimy? Z tym by się z pewnością zgodził tamten gość z Elei.

FAJDROS. Pewnie.

SOKRATES. A Polosa Muzeum figur retorycznych, te jego na przykład diplazjologie, gnomologie, ikonologie? A słownik Likymnios, który mu tamten darował, żeby napisać o pięknie brzmiących słówkach?

FAJDROS. A czy to nie były po części wynalazki Protagorasa?

SOKRATES. A tak: pewna poprawność językowa, chłopcze, i wiele innych pięknych rzeczy. Ale mistrzem w lamentach i jękach przed sądem, w artystycznym wywlekaniu starości i ubóstwa, w tym celował ten atleta z Chalcedonu. O, ten mąż pysznie umiał wywoływać oburzenie, a potem je, powiada, czarem wymowy uśmierzał. Znakomicie umiał oczerniać kogo bądź albo odpierać potwarze wszelkiego rodzaju. Ale na zakończenie mowy to podobno wszyscy się jednakowo zapatrywali; tylko jeden tak to nazywał, a drugi inaczej.

FAJDROS. Ty mówisz o tym, jako to trzeba przy końcu mowy wszystko pokrótce zebrać i przypomnieć słuchaczom, co się mówiło.

SOKRATES. Właśnie to mówię, a ty masz może jeszcze coś do powiedzenia o sztuce układaniaków?

FAJDROS. A, drobnostki; nie warto o nich mówić.

SOKRATES. Mniejsza o drobnostki. Ale tamte rzeczy, może by je tak do światła zobaczyć, jakie i kiedy mają znaczenie w sztuce?

FAJDROS. Mają, bardzo wielkie, wobec tłumu - na Zgromadzeniach Ludowych.

SOKRATES. Mają niewątpliwie. Ale bój się Boga! Przypatrz się i ty sam; może i ty odniesiesz takie wrażenie - ja uważam, że to wszystko jest ogromnie rzadkie płótno.

FAJDROS. Pokaż tylko.

SOKRATES. Bo proszę cię; gdyby tak ktoś przyszedł do twego przyjaciela Eryksimacha albo do jego ojca Akumenosa i powiedział: "Ja takie rozmaite rzeczy umiem ciałom ludzkim podawać, że jak zechcę, to się każde rozgrzeje albo oziębi, a jak mi się podoba, to potrafię sprowadzić wymioty albo i przeczyszczenie, i inne takie najrozmaitsze skutki. A ponieważ to umiem, uważam się za lekarza i sądzę, że drugiego potrafię tego wyuczyć, o ile mu użyczę wiedzy o tych środkach". Cóż, myślisz, powiedzieliby mu na to?

FAJDROS. Cóż innego, jak nie zapytałiby go, czy oprócz tego wie także, którym ludziom copodawać potrzeba i kiedy, i w jakiej dawce.

SOKRATES. A gdyby powiedział, że: Ani mowy, ale sądzę, że ten, który się tego ode mnienauczy, sam już potrafi zrobić to, o co mnie pytasz?

FAJDROS. No to pewnie by powiedzieli, że ten człowiek zwariował i gdzieś tam z podręcznikacoś posłyszał albo mu jakieś lekarstwa w ręce wpadły i dlatego mu się zdaje, że został lekarzem, a nie ma najmniejszego pojęcia o medycynie.

SOKRATES. A cóż, gdyby tak do Sofoklesa ktoś przyszedł albo do Eurypidesa i powiedział, że potrafi na temat lada drobnostki robić olbrzymie tyrady, a na wielki temat króciutkie, a jak zechce, to skargi i lamenty, i na odwrót, straszne słowa i groźby, i inne takie rzeczy; on tego uczy i uważa, że podaje uczniom sztukę dramatu?

FAJDROS. I ci, Sokratesie, wyśmialiby go zapewne, jak każdego, kto by sądził, że tragedia jest czymś innym niż porządnym kompleksem tych właśnie składników dobranych do siebie nawzajem i do całości.

SOKRATES. No, bez szorstkości i bez impertynencji byłoby się między nimi obeszło, aletak jakby muzyk spotkał kiedyś człowieka, któremu się zdaje, że umie naukę harmonii, bo potrafi uderzyć ton bardzo wysoki i całkiem niski, to nie palnąłby mu z miejsca: "Ty bałwanie, czyś zwariował?", ale że to Muz przyjaciel, więc delikatnie: "Ależ mój drogi, koniecznie i to potrzeba znać, jeśli ktoś chce zostać mistrzem harmonii, ale może zajść i taki wypadek, że mógłby najmniejszego pojęcia nie mieć o harmonii, kto by miał tylko takie przygotowanie jak ty. Ty posiadasz wiadomości wstępne do nauki harmonii, ale nie samą naukę".

FAJDROS. Bardzo słusznie.

SOKRATES. Nieprawdaż? Więc i Sofokles powiedziałby, że ten ktoś popisuje się tylkoczymś, co jest przed tragedią, ale to nie dramaturgia, i Akumenos by powiedział, że to przed medycyną, a nie medycyna.

FAJDROS. Tak, w każdym razie.

SOKRATES. No cóż? A gdyby tak ów złotousty Adrastos albo Perykles przyszedł i usłyszało tych ślicznych sztuczkach, o którychśmy dzisiaj mówili, o tych brachylogiach i ikonologiach, cośmy to je musieli brać pod światło, cóż, czyby się gniewali i padłoby z ich ust, tak jak ode mnie i od ciebie, także jakieś mocne słowo na tych, którzy to popisali wszystko i uczą tego niby sztuki wymowy; czy też oni, mądrzejsi od nas, byłiby nam zaraz usta zamknęli, mówiąc: "Fajdroisie i Sokratesie, nie trzeba się gniewać, ale wybaczyć, jeśli ludzie nie umiejący myśleć porządnie nie potrafili określić, czym jest sztuka retoryczna, i skutkiem tego niedomagania umysłowego, mając w ręku tylko potrzebne wiadomości i środki poprzedzające tę sztukę, sądzili, że wynaleźli samą sztukę wymowy. Uczą tego drugich i zdaje im się, że znakomicie wyuczają sztuki mówienia. A podać to wszystko tak, żeby naprawdę przekonywało, a złożyć całość organicznie związaną to niby nic? To już niech sobie uczeń sam z siebie wydobędzie w samej mowie!"

FAJDROS. Tak, tak, Sokratesie. Zdaje się, że to istotnie coś takiego, ta cała sztuka, którą ciludzie podają na wykładach i w podręcznikach jako retorykę. Zdaje mi się, że masz rację. Ale wiesz, tę sztukę istotnego mówcy, takiego, który przekonywa naprawdę, jakby to i skąd by ją można wziąć?

SOKRATES. Umieć mówić, Fajdroisie, to może tak jak zostać doskonałym zapaśnikiem, anawet z pewnością tak samo jak z innymi rzeczami. Jeżeli ci natura dała talent wrodzony, będziesz znakomitym mówcą, jeśli do tego dodasz wiedzę i pilność wytrwałą. Jeśli jednego lub drugiego zaniedbasz, będzie ci tego do doskonałości brakło. A o ile chodzi o artyzm w tych rzeczach, to zdaje mi się, nie tędy do niego droga, którądy Tizjasz prowadzi i Trazymach.

FAJDROS. A którądy?

SOKRATES. Wiesz co, mój kochany, wydaje się, że najdoskonalszy mówca ze wszystkich to Perykles.

FAJDROS. Co ty mówisz!

SOKRATES. Każdemu wielkiemu artyście przydadzą się bajdy o naturze nieba i ziemi. Powiniensię raz w życiu bawić takim szperaniem w rzeczach wielkich. Stąd musi umysł nabierać szerszego spojrzenia na wszystko, zaokrąglać się niejako i dojrzewać. I Perykles posiadał to spojrzenie obok zdolności wrodzonych. Wpadł na takiego właśnie Anaksagorasa, napełnił sobie głowę filozofią przyrody i doszedł natury rozumu i nierozumu; o tym zawsze dużo mówił

Anaksagoras. Perykles wyciągnął stąd to, co mu się później przydało w sztuce wymowy.

FAJDROS. Jak ty to rozumiesz?

SOKRATES. Przecież ze sztuką wymowy to tak samo jak z medycyną.

FAJDROS. Jak to?

SOKRATES. W jednej i w drugiej musisz rozbierać, analizować naturę: ciała w jednej, a duszyw drugiej, jeśli nie chcesz na podstawie samej tylko rutyny i doświadczenia ciała podawać lekarstwa i wyrabiać w nim zdrowie i siły, a duszy podawać myśli i obyczaje zacne i rozwijać w niej przekonania dowolne i dzielności.

FAJDROS. Podobno tak, Sokratesie.

SOKRATES. A naturę duszy zrozumieć nauczycie, przypuszczasz, że można bez naturywszechrzeczy?

FAJDROS. Jeśli mamy wierzyć Hippokratesowi, temu z Asklepiadów, to nawet i naturyciała na innej drodze nie poznasz.

SOKRATES. Dobrze mówi, przyjacielu. Ale trzeba oprócz Hippokratesa i rozumu zapytać, czy nam słuszość przyzna.

FAJDROS. Zgoda.

SOKRATES. Więc weź pod uwagę to, co o naturze mówi Hippokrates i prawdziwy rozum. Nieprawdaż, że tak należy rozpatrywać naturę każdej rzeczy? Naprzód się zastanowić nad tym, czy to coś prostego, czy też ma różne rodzaje to, w czym sami chcemy być mistrzami i w czym drugich chcemy doprowadzić do doskonałości, a potem, jeśli to coś prostego, zastanowić się nad jego partiami: jakie to z natury swej posiada zdolności czynne i bierne i względem jakich przedmiotów; a jeśli to miało więcej form, to je wyliczyć i zastanowić się nad każdą, podobnie jak nad całością, jakie każda ma dyspozycje czynne i w jakich od czego zostaje zależnościami.

FAJDROS. Zdaje się, że tak, Sokratesie.

SOKRATES. Bez tego będziesz chodził po omacku. A żaden artysta nie powinien w swej pracy przypominać ślepego ani głuchego. Przeciwnie, czemukolwiek mowę swą poświęci, jasno okaże, jaka jest naprawdę natura tego, w co mową zechce utrafić. A to chyba będzie dusza.

FAJDROS. No tak.

SOKRATES. Nieprawdaż? Wszystkie usiłowania skupi na ten przedmiot. Bo przekonania iskłonności w niej właśnie chce wywołać. Czy tak?

FAJDROS. Tak.

SOKRATES. Więc naturalnie i Trzymach, i jaki tam inny, który by serio brat i drugim podawał sztukę wymowy, naprzód ogromnie ściśle i jasno opisać duszę i pokazać, czy jest jedna i jednolita, czy też ma, na kształt ciała, różne formy. Bo to się nazywa pokazać naturę czegoś.

FAJDROS. A pewnie.

SOKRATES. Po drugie zaś, na co z natury swej działać potrafi i co na nią działa.

FAJDROS. No, no.

SOKRATES. Po trzecie, ułożyć systematycznie rodzaje mów i rodzaje duszy oraz ich stany wewnętrzne i przejść wszystkie przyczyny za porządkiem, wiążąc każdy szczegół z każdym, i pouczyć, jaka mowa na jaką duszę i z jakiej przyczyny z konieczności działa, a na drugą zupełnie nie działa.

FAJDROS. To by znakomicie było. Doprawdy.

SOKRATES. Więc nigdy, przyjacielu, rzecz napisana lub wykładana w innym jakimkolwiek sposobie żadną miarą nie będzie miała cech sztuki, czy to o inny jaki temat będzie szło, czy o ten właśnie. Tymczasem ci, co dzisiaj o tym piszą, a których ty słuchałeś, ci zdolni do wszystkiego mistrze wymowy chytry są i ukrywają się z tym, że się doskonale znają na duszy ludzkiej. Więc pokąd nie zaczną w ten sposób wyklądać i pisać, nie damy się im przekonać, że uprawiają sztukę.

FAJDROS. W jaki sposób niby?

SOKRATES. Wprost słowa przytoczyć potrzebne nie jest łatwo. Ale ogólnikowo, jak potrzebą pisać, jeżeli rzecz ma mieć cechy sztuki, ile możliwości tobym powiedział.

FAJDROS. Więc powiedz!

SOKRATES. Skoro w naturze mowy leży zdolność do prowadzenia dusz, to człowiek, który chce być mówcą, musi koniecznie wiedzieć, ile form dusza posiada. Zatem jest ich tyle a tyle, a są takie i takie. A kiedy się rozbierze i wykaże, skąd jedni ludzie są tacy, a drudzy inni, to znowu są takie i takie formy mów, a każda ma coś sobie właściwego. Otóż takich ludzi z pomocą takich mów dla tej i tej przyczyny łatwo jest nakłaniać do takich i takich rzeczy, a innych dla innej przyczyny nakłonić trudno. A kiedy to dostatecznie pojmie, powinien się potem nauczyć bystro śledzić i spostrzegać, że tak jest i że się tak dzieje w życiu praktycznym. Jeżeli tego nie potrafi, to mało co więcej będzie wiedział ponad to, co kiedyś słyszał, kiedy chodził na wykłady. Dopiero kiedy potrafi powiedzieć, jaka mowa na kogo działa, a przy nadarzającej się sposobności potrafi się bystro zorientować, że oto mam przed sobą takiego człowieka i taką naturę, o której się wtedy mówiło, a oto on tu jest naprawdę przede mną i temu by potrzeba w ten sposób i taką mowę podać, aby go do tego i tego nakłonić - dopiero kiedy to już potrafi, a ocenić umie sposobność: co kiedy powiedzieć, a co przemilczeć, wie, kiedy stosować zwięźłość, a kiedy znowu żale wywodzić i rzucać groźby, te wszystkie rodzaje retoryczne, których się powyuczał, jeśli wie zawsze, kiedy je pora stosować, a kiedy nie- wtedy dopiero jest skończonym mówcą artystą, a prędzej nie. A jeśli pomija coś z tego, kiedy mowy wygłasza, wymowy uczy lub podręczniki retoryki układa, a twierdzi, że mowa jego ma znamiona sztuki - mądrzejszy od niego ten, kto mu nie uwierzy. Cóż więc? - powie może taki pisarz - Fajdrosie i Sokratesie, weźmiemy taką sztukę wymowy, czy może inaczej by ją pojąć?

FAJDROS. Niepodobna, Sokratesie; niepodobna inaczej. Ale to niemała robota, jak się zdaje.

SOKRATES. To prawda. Toteż bierz mowy jedną za drugą; przewracaj je na wszystkie strony próbuj, może znajdziesz jaką łatwiejszą i krótszą drogę do sztuki - bo po cóż ci iść daremnie długą i trudną, jeżeli możesz pójść krótszą i łatwiejszą. A jeżeli może masz jakąś pomoc w tym, coś od Lizjasza usłyszał albo od innego takiego, to spróbuj powiedzieć; przypomnij sobie.

FAJDROS. Tak dla próby to bym miał - ale w tej chwili mi trudno.

SOKRATES. Jeśli chcesz, to ja ci coś powiem, com słyszał od jednego z takich.

FAJDROS. Owszem.

SOKRATES. Mówią, Fajdrosie, że trzeba czasem i za wilkiem coś powiedzieć.

FAJDROS. To i ty tak zrób.

SOKRATES. Otóż oni powiadają, że nie ma co tak poważnie brać tych rzeczy i tak głębokosięgać, a takie ceregiele z tym robić, bo to przecież prosta rzecz, jakieśmy już i na początku tej mowy powiedzieli, że kto chce być tęgim mówcą, tego nic powinna nic obchodzić prawda w odniesieniu do tego, co sprawiedliwe i dobre w postępowaniu ludzkim i w ludziach samych, którzy są takimi z natury czy z wychowania, bo przecież w sądach nigdzie nikomu nie chodzi o prawdę w tych rzeczach, tylko o przekonanie. A przekonująją prawdopodobieństwa, więc one powinny obchodzić przyszłego mistrza wymowy. Toż nieraz w oskarżeniu lub w obronie nawet i faktów nie należy przedstawiać, jeśli miały przebieg nieprawdopodobny, ale prawdopodobieństwa. W ogóle mówca powinien szukać tylko prawdopodobieństwa, a prawdzie powiedzieć: bywaj zdrowa, a nie wracaj. Bo cała sztuka mówcy tkwi w tym, żeby cały czas miał prawdopodobieństwo za sobą.

FAJDROS. Ty właśnie to przedstawiasz, Sokratesie, co mówią ci, którzy udają mistrzówwymowy. Przypominam sobie, żeśmy już przedtem dotknęli czegoś takiego, a im się zdaje, że to rzecz pierwszorzędnej wagi.

SOKRATES. No, przecież samego Tizjasza znasz na wskroś. Więc niech nam sam Tizjaszpowie, co on innego rozumie przez prawdopodobieństwo jak nic to, co się tłumowi wydaje.

FAJDROS. Cóż by innego?

SOKRATES. Otóż on wpadł na taki mądry i artystyczny pomysł i napisał, że jak kiedyś człowiek słabej budowy, ale odważny, poturbuje mocnego, a tchórzliwego, zrabuje mu zarzutkę czy co innego, a zaprowadzą go do sądu, wtedy żaden z nich nie powinien prawdy powiedzieć, ale tchórz powinien mówić, że go ów odważny nic sam jeden tylko napadł, a ten niech dowodzi, że byli przecież sami, a przede wszystkim powinien sobie pomóc tym, że "gdzieżbym się ja, tyćki, brał do takiego chłopa?", a tamten się nie przyzna do swego tchórzostwa, ale znowu coś zacznie łąć i zaraz da przeciwnikowi nową broń do ręki. I w innych sprawach podobnie. To podobno są w ogóle same tego mniej więcej

rodzaju, te artystyczne mowy. Nie tak, Fajdroisie?

FAJDROS. Ano tak.

SOKRATES. Strach! Jak to oni sprytnie taką nieznaną sztukę odkryć potrafili, ten Tizjasz i ciinni, jak oni się tam wabią wszyscy. Ale, mój przyjacielu, może by im tak powiedzieć...

FAJDROS. Co?

SOKRATES. "Tizjaszu, myśmy dawno jeszcze, zanimś tu przyszedł, przy okazji jakieś mówili, że się ludzie prawdopodobieństwem karmią dlatego właśnie, że ono jest do prawdy podobne. A podobieństwa, jakieśmy to właśnie przeszli, w każdym wypadku najlepiej i najpiękniej wynajdywać potrafi ten, który prawdę zna. Więc jeśli jeszcze coś innego poza tym masz do powiedzenia o sztuce wymowy, to cię posłuchamy, a jeżeli nie, to będziemy już polegali na tym, cośmy w tej chwili wykazali: że jeśli ktoś słuchaczy swoich nie potrafi segregować wedle ich natury ani nie będzie umiał dzielić bytów wedle ich różnych rodzajów, a wszystkie razem zbierać i obejmować jedną istotą, ten nigdy w wymowie nie dojdzie do takiego mistrzostwa, do jakiego człowiek dojść potrafi. Ale do tego nie dojdzie nikt bez wielu trudów i wysiłków; a trudy te nie dla mów i postępów ludzkich podejmować powinien człowiek rozumny, ale na to, żeby umiał mówić to, co się bogom podoba, i tak, jak się im podoba, postępował, o ile mu siły pozwolą. Nigdy bowiem, Tizjaszu, tak mówią mądrzejsi od nas, nie powinien człowiek rozumny dbać o względy towarzyszków niewoli, chyba tylko ubocznie, ale pozyskiwać sobie władców dobrych i z dobrego rodu. A jeśli obręcz drogi wielka i długa, nie dziw się, bo się nią do wielkich rzeczy idzie, a nie tak, jak się tobie wydaje. Ale i ten cel wysoki, jak nasza mowa pokazuje, jeśli tylko ktoś zechce, osiągnąć na tej drodze potrafi".

FAJDROS. Bardzo to ładnie powiedziane, Sokratesie; żeby to tylko ktoś potrafił!

SOKRATES. Ale już i zabrać się do pięknych rzeczy ładnie jest i warto; wszystko jedno, co człowieka spotka po drodze.

FAJDROS. I bardzo nawet.

SOKRATES. No więc, o tym artyzmie i braku artyzmu w mowach byłoby już dość!

FAJDROS. A pewnie.

SOKRATES. A tylko o pisaniu jeszcze, gdzie ono jest na miejscu, a gdzie nie, jeszcze to zostaje. Prawda?

FAJDROS. Tak.

SOKRATES. Wiesz ty, jakieś powinien na punkcie mów postępować i mówić, abyś się jaknajwięcej bogu podobał?

FAJDROS. Zgoła nie; a ty?

SOKRATES. Słyszałem jedno podanie dawnych ludzi. Prawdę oni tylko sami znają. Gdybyśmy my ją znali, czyby nam jeszcze zależało co na ludzkich sądach?

FAJDROS. Et, zabawne pytanie. Ale coś ty słyszał? Opowiedz!

SOKRATES. Słyszałem tedy, że koło Naukratis w Egipcie mieszkał jeden z dawnych bogów tamtejszych, któremu i ptak jest poświęcony, nazywany Ibisem. A sam bóg miał się nazywać Teut. On miał pierwszy wynaleźć liczby i rachunki, geometrię i astronomię, dalej warcaby i grę w kostki, a oprócz tego litery. Królem Egiptu całego był podówczas Tamuz, a panował w owym wielkim mieście w Górnym Egipcie, które Grecy nazywają Tebami Egipskimi, a boga nazywają Ammonem. Do niego tedy przyszedł Teut, nauczył go swoich sztuk i kazał mu je rozpowszechnić między innymi Egipcjanami. A ten pytał, jaki by każda z ich przynosiła pożytek, a potem, w miarę jak mu się słowa Teuta wydawały słuszne lub niesłuszne, jedno ganił, a drugie chwalił. O każdej sztuce miał Tamuz Teutowi wiele dobrego i wiele złego do powiedzenia, o czym długo byłoby opowiadać. Otóż kiedy doszli do liter, powiedział Teut do Tamuza: Królu, ta nauka uczyni Egipcjan mądrzejszymi i sprawniejszymi w pamiętaniu; wynalazek ten jest lekarstwem na pamięć i mądrość. A ten mu na to: Teucie, mistrzu najdoskonalszy; jeden potrafi

płodzić to, co do sztuki należy, a drugi potrafi ocenić, na co się to może przydać i w czym zaszkodzić tym, którzy się zechcą daną sztuką posługiwać.

Tak też i teraz: Ty jesteś ojcem liter; zatem przez dobre serce dla nich przypisałeś im wartość wprost przeciwną tej, którą one posiadają naprawdę. Ten wynalazek niepamięć w duszach ludzkich posieje, bo człowiek, który się tego wyuczy, przestanie ćwiczyć pamięć; zaufa pismu i będzie sobie przypominał wszystko z zewnątrz, ze znaków obcych jego istocie, a nie z własnego wnętrza, z siebie samego. Więc to nie jest lekarstwo na pamięć, tylko środek na przypominanie sobie. Uczniom swoim dasz tylko pozór mądrości, a nie mądrość prawdziwą. Posiedzą bowiem wielkie odczytanie bez nauki i będzie się im zdawało, że wiele umieją, a po większej części nie będą umieli nic i tylko obcować z nimi będzie trudno; to będą mędrzy z pozoru, a nie ludzie mądrzy naprawdę.

FAJDROS. Sokratesie! Jak ty łatwo układasz mowy egipskie i jakie tylko chcesz, stąd i zowąd.

SOKRATES. Toż mowa dębu w świątyni Zeusa w Dodonie miała pierwsza wyrocznię zawierać. Dawni ludzie nie byli tacy mądrzy jak wy młodzi; w prostocie ducha umieli i dębu, i głązu posłuchać, byleby tylko prawdę mówił. Czyż ci nie wszystko jedno, kto to mówi i skąd on? Więc nie na to tylko patrzysz, czy tak jest naprawdę, jak on mówi, czy inaczej?

FAJDROS. Zamknąłeś mi usta; masz słuszość. I mnie się zdaje, że z literami to tak, jak ten Tebańczyk powiada.

SOKRATES. Nieprawdaż? Ten, co myśli, że sztukę w literach zostawia, i ten, co ją chce z nich czerpać, jak gdyby z liter mogło wyjść coś jasnego i mocnego, to człowiek bardzo naiwny i nie wie, co bóg Ammon powiedział, skoro myśli, że słowa pisane coś więcej potrafią jak tylko przypomnieć człowiekowi, który rzecz samą zna, to, o czym pismo traktuje.

FAJDROS. Zupełnie słusznie.

SOKRATES. Coś strasznie dziwnego ma do siebie pismo, Fajdrocie, a prawdę rzekłszy, to sztuka malarska. Toż i jej płody stoją przed tobą jak żywe, a gdy ich zapytasz o co - wtedy bardzo uroczyście milczą. A tak samo słowa pisane. Zdaje ci się nieraz, że one myślą i mówią. A jeśli ich zapytasz o coś z tego, o czym mowa, bo się chcesz nauczyć, one wciąż tylko jedno wskazują; zawsze jedno i to E samo. A kiedy się mowę raz napisze, wtedy się ta pisana mowa toczyć zaczyna na wszystkie strony i wpada w ręce zarówno tym, którzy ją rozumieją, jak i tym, którym nigdy w ręce wpaść nie powinna, i nie wie, do kogo warto mówić, a do kogo nie. A kiedy ją fałszywie oceniają i niesłusznie hańbią, zawsze by się jej ojciec przydał do pomocy, bo sama ani się od napaści uchronić, ani jej odeprzeć nie potrafi.

FAJDROS. I to bardzo słuszne słowa.

SOKRATES. A gdyby tak inną mowę zobaczyć; rodzoną siostrę tamtej: jaka ona jest i o ilelepsza i więcej potrafi niż tamta.

FAJDROS. Jakaż to; jak ona się robi?

SOKRATES. Mistrz, który wiedzę posiada, pisze ją w duszy ucznia. Ona potrafi odpierać napaści wie, do kogo mówić, a przed kim milczeć potrzeba.

FAJDROS. Mówisz o żywej, pełnej ducha mowie człowieka, który wiedzę posiada; mowa pisana to jej mara tylko?

SOKRATES. Ze wszech miar; ale coś innego mi powiedz. Jeżeli rolnik ma rozum, a zależy mu na pewnym nasieniu i chciałby, żeby ono owoc wydało, to czy je rzuci podczas lata gdzieś w ogródku Adonisa i będzie się po ośmiu dniach cieszył, patrząc, jak to pięknie wschodzi, czy też na to sobie czasem tylko, jeśli w ogóle kiedy, i to dla zabawy pozwoli, od święta, a jeśli mu na którym nasieniu serio zależy, to jak mu sztuka rolnicza nakazuje, posieje je w grunt odpowiedni i będzie się cieszył, jeśli to, co posiał, po ośmiu miesiącach dojrzeje?

FAJDROS. Tak jest, Sokratesie; jedno będzie robił serio, a drugie inaczej - tak jak mówisz.

SOKRATES. A cóż ten, który posiada wiedzę o tym, co sprawiedliwe i piękne, i dobre; czyżbyon miał mieć mniej rozumu od rolnika, tam gdzie chodzi o jego własne nasiona?

FAJDROS. Bynajmniej.

SOKRATES. Więc i on nie będzie serio pisał tych rzeczy na płynącej wodzie, nie będzie pióremi atramentem siał słów, które za sobą słowa przemówić nie potrafią i prawdy nauczyć, jak należy.

FAJDROS. Nie będzie; z pewnością nie będzie.

SOKRATES. O nie! Ogrody z liter i stów dla własnej zabawy będzie obsiewał i pisał, jeżeli zechce; będzie sobie kaplicę osobistych pamiątek budował, aby do niej chodził, kiedy starość niepamięć przyniesie; on sam i każdy, który za nim pójdzie śladami. Rozkosz będzie miał patrzeć, jak te kwiaty kwitną, i kiedy inni w zabawach i ucztach, i innych tego rodzaju rzeczach odświeżenia szukają, on się tak, jak mówię, bawić potrafi całe swoje życie.

FAJDROS. Przecudną opisujesz zabawę wobec tamtej, podłej. Tak się móc bawić mowami: o sprawiedliwości i tych innych, jak mówisz, mity układać...

SOKRATES. Tak jest naprawdę, kochany Fajdrosie, tak jest. Ale znacznie piękniejsza poważna praca na tym polu, kiedy ktoś sztuki dialektyki zażywa, a weźmie duszę zdolną i umiejętnie w niej zasadzi i posieje mowy, które i sobie samym, i swojemu siewcy pomóc potrafią, a nie zmarnieją bez plonu, bo jest w nich nasienie, z którego nowe mowy w rozmaitych typach ludzkich rosną, i ono nie umiera nigdy, a takie szczęście daje człowiekowi, jakiego tylko mu dostąpić można.

FAJDROS. O wiele to piękniejsze jeszcze, to co teraz mówisz.

SOKRATES. Więc teraz, Fajdrosie, możemy tamto ocenić, kiedyśmy się na to zgodzili.

FAJDROS. Ale co?

SOKRATES. A to, cośmy chcieli wziąć pod uwagę, a zaszliśmy aż tutaj: ten pamflet na Lizjasza to, że pisuje mowy. I ocenić mowy same: które z nich mają znamiona sztuki, a które nie. Bo jakie są znamiona sztuki i jej braku, to, zdaje mi się, jest już do pewnego stopnia jasne.

FAJDROS. Zdaje mi się, ale przypomnij mi: tak króciutko!

SOKRATES. Zanim ktoś nic pozna prawdy w każdej materii, o której mówi czy pisze, i nicpotrafi zgodnie z prawdą określić całości, a określiwszy, znowu ją na poszczególne formy ciąć,

aż dojdzie do elementów niepodzielnych; dopóki się w taki sam sposób nie zapozna z naturą duszy i nic potrafi znaleźć w każdym wypadku takiego rodzaju mowy, który by danej naturze odpowiadał, pokąd nie potrafi mów swoich tak układać i zdobić, żeby duszom bogatym i subtelnym mógł podawać mowy haftowane i dźwięczne, a duszom prostym proste - tak długo nie potrafi być artystą, mistrzem w narodzie mów, i cała jego robota nie przyda się na nic, bo ani nie nauczy nikogo, ani nie przekona. Wykazała to już zresztą cała nasza rozmowa.

FAJDROS. Istotnie; jakoś tak to wszystko wyglądało.

SOKRATES. Już teraz jest jasne, czy wygłaszanie i pisanie mów jest czymś pięknym, czy haniebnym, i kiedy można tym słusznie cisnąć komuś w oczy, jak hańbą, a kiedy nie. Przecież to jasno wynika z poprzednich słów.

FAJDROS. Co wynika?

SOKRATES. Że jeśli Lizjasz czy inny taki jak on pisał albo będzie kiedyś pisał w sprawie prywatnej lub publicznej, będzie układał prawa i projekty polityczne i będzie mu się zdawało, że w tym jest wielka siła i przejrzystość - to taka praca pisarska będzie hańbą dla autora; wszystko jedno, czy mu tym kto w oczy ciśnie, czy nie. Bo nie rozpoznawać widm sennych, widziadeł w zakresie sprawiedliwości i niesprawiedliwości, w zakresie dobra i zła - to nic przestanie nigdy być hańbą w oczach prawdy, choćby to cały tłum bez żadnych wyjątków chwalił.

FAJDROS. Nie przestanie.

SOKRATES. Natomiast ten, który wie, że w każdej mowie, jakkolwiek by miała temat, musibyc dużo rzeczy nie na serio i że nie istnieje w ogóle żadna mowa, ani wierszem, ani prozą wypowiedziana, ani napisana, którą by warto brać zbyt serio, jak to je rapsodowie bez rozgarnienia i bez nauki wygłaszają, byle tylko działać na dusze; kto wie, że najlepszy z mów skutek to tylko przypomnienie wywołane w duszach pełnych wiedzy i że światło prawdziwe a doskonałe jest tylko w tych mowach, którymi człowiek drugich naucza, a sam się od innych uczy o tym, co sprawiedliwe i piękne, i dobre, a na duszach je ludzkich wypisuje - ten będzie takie mowy odczuwał jak rodzone córki; naprzód tę, którą sam począł we własnym wnętrzu, a potem te jej dzieci i siostry, które się w innych duszach ludzkich porodziły i wyrosły, piękne- cóż go może obchodzić wszystko inne - taki człowiek, Fajdrosie - to będzie, zdaje się, wzór, do którego byśmy obaj dojść pragnęli.

FAJDROS. Ze wszech miar; ja przynajmniej tego pragnę i modłę się o to, co mówisz.

SOKRATES. No - jużesmy się dosyć pobawili ta retoryką. A ty jak pójdziesz, to opowiedz Lizjaszowi, jakesmy się zeszli w zaciszu Muz i w tym Muzeum słyszeliśmy mowy ciekawe. Mowy te kazały coś powiedzieć Lizjaszowi, i jeśli kto inny podobne mowy układa, i Homerowi, i kto tam inny wiersze składa pod muzykę i bez muzyki, a po trzecie Solonowi i każdemu, który pisuje mowy polityczne albo projekty ustaw układa, że jeśli mu w tej robocie przyświeca znajomość prawdy i jeśli potrafi w danym razie ustnie bronić tego, co napisał, i nieraz w tej obronie pokazać, że nic niewarte to, co napisał, ten nie zasługuje na nazwę wziętą od lichej roboty, ale od tego, co mu jako cel w tej robocie świeciło.

FAJDROS. Więc jak mu się pozwalasz nazywać?

SOKRATES. Mędrzec, Fajdrosie, to za wielkie słowo i tylko bogu samemu przystoi. Ale "przyjaciół mądrości": filozof, czy coś podobnego, to znacznie bardziej stosowne i przyzwoite.

FAJDROS. I tak się nawet mówi.

SOKRATES. Nieprawdaż, kto nie ma we własnym wnętrzu niczego cenniejszego nad to, co z siebie wydusił i napisał po długich a ciężkich cierpieniach, dodając i kreśląc niezliczone razy- tego tylko słusznie możesz nazywać poetą, pisarzem mów czy praw.

FAJDROS. No chyba.

SOKRATES. Więc powiedz to swemu przyjacielowi.

FAJDROS. A ty co? A co ty swojemu powiesz? Twojego także pomijać nie potrzeba.

SOKRATES. Któregoż to?

FAJDROS. Ślicznego Izokratesa. Cóż ty jemu powiesz, Sokratesie? Jakież on twoim zdaniem?

SOKRATES. Młody jeszcze, Fajdrosie. Ale jakie mam o nim przeczucia, to ci powiem.

FAJDROS. No jakież?

SOKRATES. Zanadto zdolny człowiek, jak na takie mowy w stylu Lizjasza. Natura inna. Apozą tym lepszy charakter. Więc nie dziwiłbym się, gdyby z wiekiem nawet w tym rodzaju mów, którymi się teraz bawi, wszystkich innych przewyższył i poza sobą zostawił, ani też, gdyby mu i to nie wystarczyło, a odezwałby się w nim boski pęd do czegoś wyższego. Umiłowanie mądrości leży poniekąd w naturze ludzkiej duszy. To ja powiem mojemu kochankowi od tych bóstw w tym ustroniu. A ty powiedz tamto swemu: Lizjaszowi.

FAJDROS. Powiem. Ale chodźmy już; już chłodniej teraz na dworze.

SOKRATES. No, ale się wypada pomodlić do tych tutaj, nim pójdziemy.

FAJDROS. Owszem.

SOKRATES. Panie, przyjacielu nasz, i wy inni, którzy tu mieszkacie, bogowie! Dajcie mi to, żebym piękny był na wewnątrz. A z wierzchu co mam, to niechaj w zgodzie żyje z tym, co w środku. Obym

zawsze wierzył, że bogatym jest tylko człowiek mądry. A złota obym tyle miał, ile ani unieść, ani uciągnąć nie potrafi nikt inny, tylko ten, co zna miarę we wszystkim. Trzeba nam jeszcze czego więcej, Fajdroisie? Ja mam modlitwy w sam raz.

FAJDROS. Pomódl się o to i dla mnie. Wspólna jest dola przyjaciół.

SOKRATES. Chodźmy.